

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



François Villon

Wielki testament

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

OD TŁUMACZA

Kiedy oto robiłem korektę do ponownego wydania *Wielkiego testamentu*, mimo woli zadumałem się nad tymi strofami, stanęły mi w oczach chwile, kiedy je przekładałem. Jesień roku 1916, zima, najciemniejszy okres wojny. Byłem wówczas jako „lekarz pospolitego ruszenia” przydzielony do tzw. Stacji Opatrunkowej i spędzałem co drugą dobę w baraku z desek skleconym między szynami kolejowymi. Raz po raz przychodziły z frontu transporty żołnierzy, zawszonych, brudnych, okrwawionych, z oczami błyszczącymi od gorączki i zmęczenia. Ale jeszcze przykrzejszy był widok tych, których pędzono na front. Żaden z austriackich „ludów” nie objawiał (zwłaszcza po dwóch latach) zapału wojennego, ta wojna była w Austrii okrutnym nonsensem. Toteż Stacja Opatrunkowa była ostatnią nadzieją wszystkich: zgłosić się tam jako chory i „zadekować” się bodaj na jakiś czas w szpitalu. Opierało się to o nas, lekarzy, wystawiając nasze uczucia ludzkości na ciężką próbę. A tu z góry zaciskano śrubę coraz mocniej. Jednego dnia przyszedł do lekarzy poufny rozkaz od dowodzącego generała, że gorączkę niżej 39 stopni ma się uważać za niebyłą... Oczywiście wrzuciliśmy ramionami na ten idiotyczny rozkaz, ale w ogóle było ciężko. I tak żyło się z dnia na dzień, z tą obawą, że samemu będzie się z dnia na dzień wyrwanym i rzuconym na któryś z dalekich terenów wojny. A wówczas miałem właśnie na warsztacie druk pięciotomowego Montaigne'a...

Barak, w którym spędzałem wówczas więcej niż pół życia, był straszny. Tłum pluskiew, do których się z czasem przyzwyczaiłem, żar od żelaznego piecyka, ziąb od okna i szpar w ścianach, myszy, szczury, jęki i stękania chorych, zaduch... Może ta rama zbudziła we mnie tęsknotę za przełożeniem Villona. Zgromadziłem całą „wilonologię”, która na szczęście była w Bibliotece Jagiellońskiej dobrze reprezentowana; gdy wieczór uspokoiło się nieco, gdy ustawało warczenie telefonów i tylko od czasu do czasu przeciągłe sygnały pociągów przerywały ciszę, wydobywałem książki i zatapiałem się w ten świat. W owej izdebce, gdzie deszcz bił w cienki dach i wicher wył za oknem, w atmosferze śmierci i rozpaczliwie dziwnie mocno czuło się te strofy. Żyłem w upojeniu. Jednej nocy, zatopiony w mojej pracy, usłyszałem chrobot: oglądam się, na półkę nad łóżkiem dostała się młoda myszka i widocznie nie umiała zejść. Patrzę na nią, ona na mnie, oboje ze strachem. Wreszcie podstawilem jej poduszkę, zbiegła lekko i uciekła.

Te chwile, które dawno zatarły się w pamięci jak przykry sen, stanęły mi nagle przed oczyma jak żywe w czasie robienia korekt. I może okoliczności, w jakich przekładałem tę książeczkę, sprawiły, iż pozostała mi ona szczególnie bliską.

Wiek XV, który był kolebką Villona, jak również i poprzedzający go wiek XIV nie są we Francji okresem interesującym pod względem piśmienniczym. Jest to, z punktu widzenia kultury, epoka przejściowa; epoka, w której gmach średniowiecza rozpada się i kruszeje, zaledwie zaś tu i ówdzie odosobnieni budownicy gromadzą dopiero cegły pod przyszłą budowę Odrodzenia. Stany, instytucje, na których zasadzał się porządek społeczny, zdradzają znamiona wyczerpania lub potrzebę głębokich reform. Wspaniały, połyskujący stałą i złotem rynsztunek feudalnego rycerstwa stał się czczą dekoracją: pod religią rycerskiego „honoru” kryje się egoizm, brutalność, brak poczucia narodowego, chciwość i zdrada. Kościół, szarpany schizmą, od samych szczytów dający obraz zgorzenia, uprawiający handel odpustów i godności kościelnych, gromadzący olbrzymie bogactwa przez dłonie zakonów żebrzących, nie odwraca wprawdzie od wiary, ale nie daje też silnych podstaw życia moralnego. Podobnie i dawne źródła literatury i poezji wysychają. Stare powieści i rapsody

rycerskie stały się martwą literą, obcą już przez sam język, który, od czasu *Powieści Okrągłego Stołu*, uległ znacznemu przeobrażeniu. Ostatnim dziełem szerokiego tchu jest *Romans Róży*, a raczej jego druga część¹, pióra Jana de Meung (1277) – ale i to już dawna przeszłość, która przez wiek XIV i XV pokutuje we wtórnych naśladownictwach, wlokąc za sobą cały kram zimnych i rozwlekłych alegorii. Poezja, nie znajdując źródeł, z których by była dla niej nowa treść, staje się igraszką dworską, zasklepia się w problemach formalnych. Obracając się w kręgu konwencjonalnych tematów (srogość kochanki, niestałość losu, nieubłagany kres wszystkiego w śmierci etc.), szuka chluby w trudności formy i wirtuozostwie, o jakim nie śniło się dzisiejszym poetom. Wreszcie lata poprzedzające rok 1431 – datę urodzenia Franciszka Villona – stają się dobą najgłębszego upadku Francji, najechanej przez Anglików, pustoszonej rabunkiem i pożogą, zarazą i kontrybucjami, słowem wszystkimi klęskami długoletniej i zacieklej wojny. W tej to epoce, w roku, w którym spalono na stosie w Rouen Dziewicę Orleańską, urodził się w domu paryskich nędzarzy przyszły włóczęga, bandyta, sutener i złodziej, który część życia spędził w więzieniach, a cudem jedynie uniknął szubienicy, który, dziwną igraszką losu, miał się stać, obok tej wielkiej patronki Francji, jedynym świetlanym punktem posepnej i mrocznej epoki. Tak wielką jest potęgą poezji, gdziekolwiek zapłonie prawdziwa jej iskra!

Franciszek z Moncorbier, który od swego krewnego i opiekuna przybrał nazwisko Villona, urodził się z biednej rodziny w Paryżu, w roku 1431. O ojcu nie wiadomo nic; odumarał syna młodo; o matce tyle, iż była to uboga i prosta kobieta. Przygarnął chłopca i zajął się jego kształceniem Wilhelm Villon, kanonik przy klasztorze św. Benedykta, w którego też murach wychował się Franciszek. O latach młodzieńczych Villona wiadomo tyle, iż w roku 1449 otrzymał stopień bakałarza, a w 1452 „licencjata Sztuk”; w domu przybranego ojca zetknął się z poważnym gronem osób ze świata duchownego i urzędniczego. Ale skłonności pchały młodego żaka ku innemu towarzystwu. „Uniwersytet paryski – pisze L. Molland, jeden z biografów poety – ze swymi przywilejami, które czyniły zeń państwo w państwie, ze swą cizbą młodzieży, ciągnącą z całej Europy, a często pozbawioną środków, krył w swoim łonie najniebezpieczniejszych złoczyńców: tych, którym niejaka kultura umysłowa dawała zarazem więcej środków czynienia złego i więcej środków drwienia ze sprawiedliwości. Władza duchowna uwalniała prawie zawsze winnych. Ażeby sądy kryminalne prefektury Paryża mogły na nich położyć rękę, trzeba było recydywy po recydywie, trzeba było, aby ich uznano jako wyzutyh z przywileju kleryków i popadłych *in profundum malorum*: takie było uświęcone wyrażenie. Sytuacja tak uprzywilejowana ściągała do uniwersytetu mnóstwo nicponiów, zrujnowanych i pogrążonych w rozpuście szlacheckich synów, którym, dla uzyskania charakteru studenta, wystarczało wpisać się na lekcje jednego z nauczycieli. Rozwijały się tam prawdziwe stowarzyszenia bandytów, opryszków, oszustów i włamywaczy; owe żaki-urwisze dawały najwięcej zatrudnienia policji paryskiej...”

Słowem, te późne wieki średnie miały swoją cyganerię, ale dostrojoną do twardych obyczajów epoki; nieśmiertelny typ takiego „cygana” skreślił Rabelais w postaci Panurga w swoim *Pantagruelu*.

Po wszystkie czasy knajpa odgrywała dominującą rolę w życiu studenckim; stała się też ona domem Villona i wciągnawszy go w wesołe towarzystwo młodych utracjuszków, doprowadziła od psot studenckich do coraz cięższych wybryków. Villon stał się duszą kompanii, niewyczerpanym – jak to utrwaliła tradycja – w sposobach zdobywania dla siebie i towarzyszy jadła i napitku na biesiadę, kosztem łatwowiernych przekupniów. Z owych młodocianych czasów poety godzi się też wspomnieć epizod słynnego kamienia Pet-du-diable, o którego wzruszenie z pierwotnego miejsca stoczyła się tragicomiczna walka pomiędzy studenterią a policją; epizod ten uwiecznił Villon w poemacie, o którym wiemy ze

¹ Autorem pierwszej, wcześniejszej o jakie pół wieku, jest Wilhelm de Lorris.

wzmianki w jego *Testamencie*, ale który niestety zaginął². Sprzeczka, na tle bliżej nam nieznanym (wiemy tyle, iż chodziło o niejaką Ysabeau), uczyniła Villona w obronie własnego życia mimowolnym zabójcą (1455). Sprawę umorzono; nim to jednak nastąpiło, Villon zmuszony był do kilku miesięcznej tułaczki. Może już wówczas Villon wszedł w stosunki ze słynną szajką tzw. *coquillards*, którzy operowali po całej Francji, a których później był niewątpliwym towarzyszem i bardem³. W każdym razie w następnym roku, po powrocie do Paryża, widzimy go współdziałającym w zbrodni, tym razem dokonanej z całym rozmysłem, mianowicie w kradzieży z włamaniem w kolegium nawarskim. Kradzież przyniosła 500 dukatów i na razie nie wyszła na jaw. Zacheęcona powodzeniem szajka planuje nową kradzież, w Angers, dokąd wspólnicy wysyłają przodem Villona dla rozpatrzenia się w terenie. Na wyjeździe, pomiędzy tymi dwoma niebezpiecznymi przedsięwzięciami, Villon układa mały poemacik pt. *Legaty*, nazywany też później przez publiczność *Małym testamentem*, utwór satyryczny, tryskający pustotą i humorem (które możemy dziś jedynie wyczuwać w pulsowaniu rytmów, większość bowiem aluzji, jakimi naszpikowany jest utwór, jest dla nas martwa lub na wpół niezrozumiała). W utworze tym oznajmia, iż opuszcza Paryż, ale przypisuje ten wyjazd okrucieństwu lady swego serca, nie wspominając nic o innych, mniej chlubnych przyczynach skłaniających go do podróży; na odjeździe czyni podarki i zapisy znajomym, przyjaciółom i wrogom, które to podarki są oczywiście jedynie pretekstem do ucieśnych lub złośliwych aluzji.

W czasie nieobecności Villona kradzież w kolegium wyszła na jaw; uwięziono paru uczestników, których zeznania obciążły Villona. Bramy Paryża stają się pod grozą największego niebezpieczeństwa dla poety zamknięte: znów czeka go tułaczka. Jakiś czas spędza na dworze księcia Karola Orleańskiego, najwybitniejszego wówczas poety we Francji, który, po długoletnim więzieniu angielskim, osiadłszy w uroczej rezydencji w Blois, zażywa w atmosferze turniejów poetyckich pogodnej jesieni swego życia. Niestety, Villon, po krótkim korzystaniu z łaski, a nawet pensji książęcej, dostaje się z nieznanym bliżej, ale zdaje się poważnych powodów do więzienia w Orleans; ocala go amnestia, sprowadzona wjazdem młodzickiej księżniczki. Niebawem to samo szczęście w nieszczęściu powtarza się w życiu poety: wtrącony – znów nie wiemy, za jakie przestępstwo – do bardzo ciężkiego więzienia w Meungs, zagrzebany w nim beznadziejnie (wśród czego znajduje wszakże dość siły, aby przesłać przyjaciółom paryskim pełną werwy balladę *Czyż opuścicie biednego Villona?*), znów cudownemu przypadkowi zawdzięcza uwolnienie. Król Karol umiera; następcą jego, Ludwik XI, przejeżdżając z koronacji przez Meungs, darzy amnestią licznych więźniów; w ich liczbie znajduje się Villon. Amnestia obejmowała prawdopodobnie i nieodpokutowaną jeszcze kradzież nawarską, Villon bowiem wraca spokojnie do Paryża (1461). Tu pisze *Wielki testament*, utwór, w którym zamyka całego siebie, wszystkie swoje żale i nienawiści, wspominki i marzenia, całą werwę paryskiego ulicznika i melancholię przedwcześnie zmarniałego tułacza, i tragizm spojrzenia na świat z drugiego brzegu.

Niedługo dane mu było zażywać spoczynku. Niepokojony znowu o kradzież w kolegium nawarskim – ten pierwszy błąd młodości, który pociągnął za sobą łańcuch innych – Villon dostaje się jeszcze raz do więzienia. Chodziło, zdaje się, o pretensje cywilne; toteż wypuszczono więźnia, skoro zobowiązał się (prawdopodobnie za jakąś poważną poręką) spłacić w określonym terminie poszkodowanym część straty! Niebawem jednak najniewinniejszy z wybryków Villona wtrąca go w najcięższe opresje. Nocna bójka, zakończona śmiercią poważnego mieszczanina, prowadzi Villona – mimo że tylko pośrednio

² Tradycję tę utrwalił poemacik pt. *Repues franchises (Daremne biesiady)*, którego bohaterem jest Villon i którego autorstwo przypisywano nawet długo jemu samemu.

³ Napisał w złodziejskim narzeczu szajki szereg ballad o treści zaczerpniętej z życia włóczęgów.

był w nią zamieszany – do więzienia, gdzie, doświadczony go wprzód torturą wodną, odczytano mu wyrok śmierci przez powieszenie. Tym razem rzecz zdawała się bez ratunku. Skazaniec kreśli w więzieniu słynną *Balladę wisielców*, zbiera jednak ostatek energii, aby apelować, mimo iż z małą nadzieją. Apelacja – może dzięki jakiemuś poparciu – odniosła skutek: karę śmierci zmieniono na dziesięcioletnie wygnanie z obrębu Paryża. Villon daje wyraz swym uczuciom w radosnej balladzie do odźwiernego Garniera; drugiej balladzie, zwróconej do Trybunału, uprasza o trzechdniową zwłokę i – opuszcza Paryż (1463) w trzydziestym trzecim roku życia.

Tu ślad poety gubi się. Należy przypuszczać, iż zmarł niedługo później, gdyż byłby został po nim jakiś dokument, bądź w nowych utworach, bądź w rocznikach kryminalnych.

Czym był Villon na tle połowy XV wieku dla francuskiego piśmiennictwa? Spróbuję to objaśnić w kilku słowach. Villon jest pierwszym poetą Francji w nowożytnym znaczeniu; jest w poezji francuskiej pierwszą wybitną jednostką. Dawne twory poezji francuskiej noszą cechę twórczości zbiorowej: narastają pokoleniami, przechodzą z ust do ust, już pierwszy spisujący je twórca jest raczej ich redaktorem; wyrażają zarazem zbiorowe, nie indywidualne pojęcia i wierzenia. Późniejszą, chronologicznie bliższą Villonowi poezję cechuje także jej bezosobisty poniekąd charakter: poeta nie tyle dąży do wyrażenia siebie, ile kładzie swą ambicję w to, aby utarte i ogólnikowe tematy ująć w sposób nowy co do trudności formalnych. Parę zaledwie można by wymienić nazwisk poetów (Alain Chartier, książę Karol Orleański), których profile, dość nisko zresztą, zarysowują się bardziej indywidualnie na tle ogólnej szarzyzny. Villon natomiast bierze stare, gotowe formy, aby je odmłodzić żywą krwią swoją; aby w nich dać siebie: gorącą, namiętą, rzewną spowiedź życia, jęk zmarnowanej młodości, spazm niezaspokojonego serca. Nie ucieka się do pomocy fikcji poetyckiej ani alegorii, nie przypina sobie szlachetnego koturnu, nawet koturnu nieszczęścia; jak nikt przed nim, a mało kto po nim, bez szaty godowej wchodzi do zaczarowanego pałacu wielkiej sztuki; od pierwszego wiersza mówi do nas on sam, biedak, więzień, zbrodniarz, „miłośnik z hańbą przepędzony” i „ochłostany nago”, kochanek „grubej Małgosi”... a wszystko „dla braku trochy maiętności...” Villon jako artysta wyróżnia się zmysłem rzeczywistości: nie szuka poezji w obłokach ani w urojeniu, znajduje ją tuż koło siebie, bierze ją z błota ziemi i mocą dziwnego czarodziejstwa wszystko, co weźmie w rękę, zamienia w przejmującą poezję. Jest to poeta na wskroś egotyczny, czystej krwi liryk, i jako taki Villon jest odosobnionym zjawiskiem: ta żyła poezji kryje się po nim i przepada gdzieś pod ziemią; nie ma dla niej miejsca ani w humanizmie wieku XVI, ani w klasycznym i obiektywnym wieku XVII, ani w filozoficznej grze myśli wieku XVIII. Dopiero w romantyzmie pierwszej połowy XIX wieku, poczętym z innego znów łażnika i po trosze sutenera – nazywał się on Jan Jakub Rousseau – który, tak samo jak Villon, wypowiadał swoje biedne serce, żyła ta tryska olbrzymim strumieniem i staje się istotą całej niemal nowoczesnej poezji. Villon jest nam tedy szczególnie bliski – bliższy o wiele, niż był bezpośrednio po nim następującym wiekom.

Villon jest pierwszym poetą Francji przez swą twórczość w zakresie języka. Uczynił w poezji to, co później Rabelais w prozie: miast dawnej naiwnej, czasem niedołej gwarzy lub też miast kunsztownych formalnych łamańców, wyrażających mdłe i konwencjonalne uczucia, mowa Villona płynie wprost z serca; w sercu, we krwi znajduje dla swych uczuć wyraz bezpośredni, prosty i doskonały: kunsztowny, ale zupełnie innym, głębokim kunsztem. Niezwykłym zjawiskiem była w owej epoce jego giętkość wyrazu dla każdego odcienia myśli, lekka igraszka żartu, swoboda i śmiałość w przechodzeniu od pustoty do tragicznej powagi, od cynizmu do modlitwy. Jak bardzo Villon jest tu nowożytnym i jak wyprzedził swą epokę, wyrazi najlepiej to, iż dziś stawiają go obok takiego mistrza śmiechu przez łyżę jak Heine i takiego artysty nastroju jak Verlaine.

Puścizna literacka Villona jest bardzo szczupła. Obejmuje ona wdzięczny, lecz błahy poemacik *Legaty* (*Les Lais*, w dzis. franc. *Les legs*) zwany też *Małym testamentem*, dalej

Wielki testament i kilka okolicznościowych ballad, które późniejsi wydawcy dołączyli do *Wielkiego testamentu jako Kodycył* (nazwa ta nie pochodzi od Villona); wreszcie kilka wspomnianych już ballad w żargonie złodziejskim. Tak więc główna treść Villona zamyka się w *Wielkim testamencie*. Nie jest to bynajmniej jednolity, planowo skomponowany utwór; przeciwnie, jest to mieszanina bardzo nierównej wartości. Podjąwszy jeszcze raz poetycką formę *Legatów* (nienową zresztą w średniowiecznej poezji), Villon rozszerzył ją i pogłębił, naśladowując w konsekwentnej parodii wiernie wszystkie szczegóły formalnego testamentu; po czym, stworzywszy w ten sposób ramy dopuszczające wszelkiej swobody w dygresjach, opracował w nie szereg utworów, przeważnie ballad, datujących się widocznie z rozmaitych epok jego życia. Stąd nierówności dzieła. Obok rzeczy doskonałych w formie i wyrazie, jak np. *Żale piękney Płatnerki*, jak owa *Ballada o paniach minionego czasu* ze słynnym refrenem: „*Mais ou sont les neiges d'antan?*”, mieści się np. zimne i urzędowe epitalamium: „I oto czemu jesteśmy tu społeciem”, lub też błahe spiętrzenie obrzydliwości (jedna z ulubionych zabaw poezji średniowiecznej) w balladzie: „*Niechay się smażą zawistne języki*”. Można powiedzieć, iż to, co czyni dla nas Villona wielkim poetą, zamyka się w jakich paruset lub kilkuset wierszach.

Ulubioną formą, w jakiej tworzył Villon, była ballada. Nie była ona jego własnością; przeciwnie, panowała w owej epoce w poezji prawie wszechwładnie. Balladę starofrancuską (od *baller*, tańczyć) trzeba ściśle odróżnić od romantycznej ballady niemieckiej (jak również i polskiej), której pojęcie płynie z treści, podczas gdy tamtej – z formy. Formę tę stanowiły trzy strofy, ośmio- lub dziesięciowierszowe, i krótsze przesłanie, zaczynające się z reguły od słowa „*Książę*”: zabytek z turniejów śpiewackich, gdy recytator lub śpiewak zwracał się kończąc do sędziego i księcia turnieju. Wszystkie trzy strofy i przesłanie oparte były na tych samych rymach, splecionych w kunsztowny sposób, tak iż w klasycznej balladzie na dwadzieścia osiem wierszy zasadniczych rym powtarzał się czternaście razy. Nie zadowolając się tymi trudnościami, autor często składał swoje imię i nazwisko z pierwszych liter wierszy (był to wówczas często używany i bardzo potrzebny sposób ochrony własności literackiej), nie mówiąc o innych akrobatycznych sztuczkach formy, jakie sobie jeszcze nieraz nakładano. Villon uprawia balladę z mistrzostwem. Pod jego piórem staje się ona na przemian poważną, dworną, rzewną, lekką, wesołą: przyjmuje wszystkie odcienie ruchliwej jego myśli.

A myśl ta, mimo iż skacze z przedmiotu na przedmiot, krąży uparcie koło jednego obrazu. Obrazem tym Śmierć; temat dla pisarzy średnich wieków szczególnie bliski, a dla Villona bardziej niż dla kogo bądź innego. Cechą średniowiecza jest poufale współzycie ze śmiercią, która też czyhała na ówczesnego człowieka w tysiącznych formach na każdym kroku. W gęsto zabudowanych miastach cmentarze stanowiły prawie jedyne szersze przestrzenie; były ogrodem publicznym, miejscem zebrań, zabaw, handlu przy kramikach. Od czasu do czasu, z powodu przepełnienia, wykopywano zbutwiałe szczątki trumien i zsypywano kości na jedną kupę, aby je pogrześć wspólnie dla oszczędzenia miejsca. Kiedy Villon kreśli w wymownych strofach ten obraz i snuje zeń refleksje, kreśli je wprost z natury, z codziennego widoku. W ustach dzisiejszego poety, wysmażona przy biurku, byłaby może ta refleksja zimną i banalną; w ustach tego straconego dziecka, igrającego bez przerwy z szubienicą, jest ona na wskroś przejmująca i odczuta. Kiedy nazajutrz po odczytaniu wyroku skazaniec maluje we wstrząsającej groźnej plastyki, a nienagannej co do formy balladzie obraz siebie i swoich kompanów dziobanych przez kruki, ach, to nie literatura! Villon jest jednym z największych poetów śmierci i wszystkiego, co z nią się wiąże: owej przenikliwej melancholii, a zarazem wszystkich obrzydliwości mijania, owego niedosytu rozkoszy, jaki z gorącego zmysłowego serca tego dziecka paryskiego bruku wydziera tak naiwne westchnienie; owego głodu miłości, niemal bez przedmiotu, jakim natura buntuje się w nim przeciw zniszczeniu ciała. Trzeba bowiem powiedzieć, mimo iż Villon z naciskiem przedstawia się niejednokrotnie jako „męczennik miłości”, iż tęsknota za nią często występuje raczej jako tęsknota tułacza i

biedaka do jednej z wymarzonych form „wygodnego życia”, jako uzupełnienie tego „miętkiego łóżka” i smacznego jadła niż jako miłość w wyższym, szlachetniejszym pojęciu.

*...Zaiste, nieraz miłowałem,
Y miłowałbym ieszcze chętnie;
Lecz serce smutne, z wygłodniałym
Brzuchem, co skwierczy zbyt natrętnie,
Odwodzą mnie z miłosnych drózek.
Ktoś inny, syty, swey ochocie
Folguie w mnie: – Amor-bożek
W pełnym wszak rodzi się żywocie!*

Wielu komentatorów Villona uważa aluzje poety do swoich „męczeństw miłosnych” raczej jako hołd złożony ówczesnej dworno-czułej konwencji niż jako odbicie rzeczywistych przeżyć. Jednakże nuta ta powtarza się w *Testamencie* zbyt często i zbyt konsekwentnie, aby ją można było pominąć tak lekko, zwłaszcza wobec najdalej posuniętej szczerości, z jaką poeta skądinąd mówi o sobie, nie drapując się bynajmniej w szlachetny kostium. Z drugiej strony, wśród szeregu niskich miłostek, o których Villon natraca, rysuje się w *Testamencie* jeden profil kobiecy, odcinający się od innych zarówno urokiem, jak siłą wrażenia, z jaką wycisnął się w pamięci poety. To ta Kasia, Katarzyna de Vausselles⁴ (Villon wymienia ją w oryginalnym tekście z imienia i nazwiska), dla której Villona „zbito nago”, przez którą „wszędę zwą go głośno: Miłośnik z hańbą przepędzony...”

*Co bądź iey ieno kładłem w uszy,
Zawždy powolnie mnie słuchała –
Zgodę czy pośmiech mając w duszy –
Co więcey, nieraz mnie cirpiała,
Iżbych się przymknął do niey ciasno
I w śleпка patrzył promieniste,
Y prawil swoje... Wiem dziś iasno,
Ze to szalbierstwo było czyste.*

*Wszystko umiała przeinaczyć;
Mamiła mnie, niby przez czary;
Zanim człek zdołał się obaczyć,
Z mąki zrobiła popiół szary;
Na żużel rzekła, że to ziarno,
Na czapkę, że to hełm błyszczący,
Y tak zwodziła mową marną,
Zwodniczem słowem rzucający...*

Wiadomo nam, z różnych aluzji zawartych w *Legatach* i *Testamencie*, że Villon w młodzieńczej epoce obracał się w towarzystwie złotej młodzieży zamożnego paryskiego mieszczaństwa. Ceniony dla swych poetyckich i towarzyskich talentów, stał się prawdopodobnie Villon pożądanym łupem dla młodych kobiet, w ten lub inny sposób należących do tego względnie wykwintnego świata; nie szczędzono mu, jak widać, miłych

⁴ Poszukiwania co do osoby Katarzyny de Vausselles pozostały daremne. Tyle wykryto, że istniała rodzina tego nazwiska i że mieszkała, za czasów Villona, w pobliżu klasztoru św. Benedykta, który służył za dom pocie.

spojrzeń i zdawkowej monety zalotności. Ale kiedy poeta, ukołysany nadziejami, zapragnął posunąć się dalej, niż to leżało w intencjach kusicielki, wówczas przekonał się – na cztery wieki przed *Komedią ludzką* Balzaka – o roli pieniądza w społeczeństwie i stosunku jego do najbardziej idealnych uczuć. Tak by świadczyły przynajmniej liczne aluzje jego w *Testamencie*. Gorączkowa chęć zdobycia owego złota, bez którego czuł poeta własną bezsilność i nędzę wobec swego bóstwa, skłoniła go może do tego, iż otwierając się dlań spokojną i dostatnią przyszłość, czekającą „licencjata Sztuk”, przybranego syna kanonika, na łonie Kościoła lub jakiego tłustego urzędu, tak nieopatrznie postawił na kartę, dając się wciągnąć do szajki rzezimieszków.

Dlatego to, kiedy Villon wyjazd swój do Angers, po spełnieniu jednej kradzieży, a celem przygotowania nowej, odnosi do motywów miłości, przyczyną tego może nie jest chęć upiększenia własnych pobudek, ale istotny związek między rozpaczliwą decyzją poety a sprawami jego serca. Od tego czasu, od kradzieży w kolegium nawarskim i podejrzonej wyprawy do Angers, Villon wykoleja się bezpowrotnie; z lekkomyślnego trochę, utalentowanego studenta, podejmowanego mimo swych wybryków w kołach uczciwego mieszczaństwa, staje się włóczęgą i opryskiem, tym samym w miłostkach swoich nie sięgającym poza sferę „grubej Małgosi”... Ale wspomnienie owej miłości, w której utopił wiarę i pragnienia młodych lat, nawiedza go tak silnie i tak żywo stoi przed oczyma poety, że kiedy w godzinie bezwzględnej szczerości – „kto zdycha, wszystko lżą mu gadać!” – Villon kończy swój *Testament* słowami, iż „miłości pomarł męczennikiem”, mamy może, mimo wszystko, prawo widzieć w tych słowach coś więcej niż stylistyczny ornament...

„Gruba Małgosia” również niemało kłopotu sprawiła niektórym bogobojnym komentatorom Villona, a to dla tonu tej ballady, który, mimo wszelkiej swobody zapatrywań, jakim poeta daje upust w *Wielkim testamencie*, odbija od reszty dzieła bezwzględny już cynizmem. Konstruowano wytłumaczenie – niewątpliwie zbyt sztuczne i dziś już ponieczone – w ten sposób, iż „Gruba Małgosia” było to jakoby godło oberży (istotnie tytuł ten służył dość często za godło podejrzanym gospodom) i że ballada Villona nie odnosi się do realnej osoby, lecz stanowi opartą na tym dwuznaczniku igraszkę literacką. Możliwszym już jest inne wytłumaczenie: mianowicie, w średniowiecznej literaturze, na przekór czułościowym wylewom poezji miłosnej, wytworzyła się przez jakiś czas moda opiewania miłostek z kobietami starymi, brzydkimi, pokracznymi etc. Może z tej mody literackiej – przełożonej na walory moralne – urodziła się ballada o „Grubej Małgosi”: wobec jednak właściwej Villonowi bezpośredniości w czerpaniu swych tematów, nie ma stanowczych powodów, aby wątpić, iż oryginał jej istniał i był żywą z krwi i kości kobietą.

Trzecią, nieco wyraźniej rysującą się fizjonomią kobiecą, to owa Marta (imię jej wypisał poeta tylko za pomocą początkowych liter jednej ze strofek ballady), której Villon poświęcił ową balladę z refrenem: „Nie dręczyć, ale wspomagać biedaka”, i poprzedzające ją, brutalnym zgrzytem zakończone oktawy. I w tej miłości Villon przeszedł snadź podobne zawody co i w swym pierwszym uczuciu, jednakże charakter tych zawodów oraz ton, jakim mówi o nich, są tutaj już o wiele niższego typu.

Tak więc miłość i śmierć, żal za zmarnowanym życiem i skrucha, wreszcie nienawiść do swych „dręczycieli” wypełniają ten wzruszający poemat. Nienawiść ta wybucha raz po raz wśród żartobliwych strof *Testamentu* i pogłębia je w akcenty wprost złowrogie, ilekroć poeta wspomni męczarnię, jakie wycierpiał.

A życie mogłoby być tak piękne! i tak łatwe! Gdyby tylko każdemu dano tyle „złota”, ile mu trzeba! Ta nad wyraz prosta socjologia – poeta nie przeczuwa niemal, aby mogła istnieć inna – podsuwa Villonowi owe rozkoszne w swym naiwnym anarchizmie strofy:

*Za Alexandra króla pono,
Człeka, zwanego Diomedesem... etc.*

W *Testamencie* Villona najmniej dziś dla nas interesującym jest to, co jest samym testamentem. Poeta podejmuje jeszcze raz dawny koncept z *Legatów*; tylko że to, co tam było niewinnym żartem paryskiego urwisa, tu staje się jadowitym sarkazmem ciężko doświadczonego tułacza i więźnia. Ale te strofy, poświęcone samym „zapisom”, najeżone są aluzjami tak związanymi z osobami i chwilą, iż miejscami zaledwie instynktem możemy wyczuwać, ile w nich tkwiło werwy i gryzącego konceptu i jak bardzo musiały bawić i drażnić współczesnych. Kiedy Klemens Marot w początku XVI wieku, zatem dwoma zaledwie pokoleniami oddzielony od epoki Villona, podejmuje na zlecenie króla Franciszka I pierwsze poprawne, oficjalne niemal wydanie dzieł poety, czyni uwagę, iż aluzje te są zupełnie ciemne i że aby je rozumieć, trzeba by żyć w Paryżu współcześnie z autorem i w jego środowisku. Dzisiejszym znawcom Villona aluzje te stały się o wiele zrozumialsze i dostępnejsze, a to dzięki olbrzymiemu nakładowi pracy i talentu, jaki szereg badaczy włożył w imponującą wprost pracę rekonstrukcyjną w tym kierunku. Dzięki gruntownemu przewertowaniu archiwów i aktów epoki, znane są dziś wszystkie osobistości, z którymi zbliżył się Villon i którym poświęcił swe strofy w *Testamencie*; znane są ich stosunki, niemal właściwości charakteru i słabostki; tak iż większość aluzji i konceptów Villona da się przy pomocy tego klucza odcyfrować, co oczywiście nie zdoła im przywrócić życia. Na szczęście *Testament*, poza tą aktualną igraszką, zawiera dość strof i wierszy żywych i dzisiaj, i po wszystkie czasy.

Pośmiertne losy puścizny Villona znaczą się nader interesującą linią. W czasie gdy poeta tworzył, druk nie był jeszcze rozpowszechniony we Francji; *Testament* musiał krążyć w odpisach lub przekazywany z ust do ust. Klemens Marot w roku 1533 zaznacza, iż za jego czasu wielu starych ludzi recytowało całe ustępy Villona jedynie z ustnej tradycji. Pierwsze znane wydanie w druku ukazuje się w r. 1489: jak wielkie było powodzenie książeczki, świadczy, iż od roku 1489 do 1533 pojawia się jej dwadzieścia wydań. W roku 1533 podejmuje Marot, jak już wspomniano, na zlecenie Franciszka I, któremu zaszczyt przynosi ta pieczołowitość, pierwszą poprawną edycję pism poety, przedrukowaną od roku 1533 do 1542 dziesięć razy. Tutaj urywa się nić łącząca Villona z nowo kształtującym się społeczeństwem Francji⁵. Od roku 1542, przez dwa wieki blisko, nie spotykamy ani jednego wydania Villona: pamięć jego przepada wśród publiczności zupełnie, przechowuje się jedynie u poetów, zaglądających tu i ówdzie do starego tomiku (Boileau). Odkrywają go na nowo romantycy, wyrażając swój podziw wymownymi ustami Teofila Gautier⁶; wzrasta jeszcze kult Villona w drugiej połowie XIX wieku, w związku z Baudelaire'owską poezją grzechu, więziennymi perypetiami Verlaine'a, poezją paryskiego bruku i gościńca, literaturą szukającą ożywczej nuty w gwarze apasza i w akcentach ostatecznego poniżenia ludzkiej istoty. Przez kult Villona dawno zapomniana forma ballady wraca do czci (Banville); Richepin, pieśniarz bosaków i włóczędów (*La chanson des gueux*), w balladzie poświęconej Villonowi składa hołd swemu protoplaście z XV wieku tą inwokacją:

*Roi des poètes en guenilles,
O gueux, maitre François Villon,*

⁵ Warto zauważyć, iż Montaigne, wśród swojej obejmującej tyle tematów gawędy, nie zdradzał ani słowem znajomości Villona; Rabelais znał go niewątpliwie i wspomina w wielu miejscach, lecz raczej w duchu pospolitej legendy, już utworzonej o pisarzu, bez głębszego wnikięcia w jego treść.

⁶ Znakomity krytyk, który nie przeoczył chyba ani jednego momentu literatury francuskiej, Sainte-Beuve, poświęca, w roku 1859, Villonowi jeden ze swych „poniedziałków”, z mniejszym jednak niż zazwyczaj odczuciem i wżyciem się w indywidualność pisarza.

*Buveur de vin, coureur de filles,
Sonneur de joyeux carillon;
Grand mélancolique en haillon,
Tes vers, sur ta tête honnie,
Font flamber le sacre rayon,
Escroc, truand, marlou, génie!*

Równoległe z kultem poetów wzrasta i naukowe zainteresowanie tak długo zaniedbywanym pisarzem. Chmara uczonych bada każdy ślad smutnego życia i czynów genialnego obwiesia, które, dzięki niezmordowanej pracy wilonologów⁷ raz po raz odsłaniają rąbek tajemnicy. Słowem, po czterech przeszło wiekach, Villon bezspornie zdobywa sobie miejsce wśród pierwszych poetów Francji. Równy jest im z pewnością szczerością i siłą, a góruje nad wieloma samorodnością talentu.

Trudności, jakie nastęczał przekład Villona, były znaczne. Dążeniem moim była, jak zawsze, najściślejsza wierność, ale przede wszystkim wierność ducha. Że cały szereg ustępów, które i w oryginale są dziś najzupełniej martwe, tym bardziej musiał ujawnić martwość swą w przekładzie, z tym trzeba było się z góry pogodzić; pocieszałem się tym, iż znajdują się inne, które i w przekładzie dadzą dość wierne pojęcie o tonie i charakterze utworu. Formę oryginału zachowałem wszędzie ściśle; z wyjątkiem prawidła ballady, które każe opierać wszystkie strofy na identycznych rymach. Warunki rymu w polskim wierszu są zupełnie odmienne niż we francuskim; gdyby nawet swobodne powtórzenie czternaście razy w dwudziestu ośmiu wierszach tegoż samego rymu było możliwe, wywołałoby ono, miast harmonijnej asonancji, jak w języku francuskim, po polsku wrażenie słuchowe przykre.

Co do wyboru utworów, postąpiłem następująco: przekładu *Legatów*, z przyczyny ich wyłącznie niemal aktualno-lokalnego charakteru, poniechałem zupełnie. *Wielki testament* przełożyłem w całości; skreśliłem jedynie jakie dwadzieścia oktaw, niepodobnych prawie do tłumaczenia, tak najeżonych igraszką słowną, opartą na osobistych aluzjach, zupełnie dziś pozbawionych soli. Pozostało w polskim przekładzie aż nazbyt wiele takich, zachowanych dla dania pojęcia o charakterze całego utworu. Z luźnych ballad zachowałem w *Kodycyłu* cztery; kilka innych, mało interesujących, pomiąłem, aby uniknąć balastu. Ogółem to polskie wydanie zawiera prawie wszystko, co posiadamy z puścizny Villona, wszystko zaś bezwzględnie, co z niej pozostało żywym.

Boy

⁷ Twórcą nowoczesnej „wilonologii” jest August Longon, który opracował pierwsze krytyczne wydanie dzieł poety (A. Lemerre, Paryż 1892), jak również wykrył cały szereg danych biograficznych; dalej autor licznych prac dotyczących poety i znakomity jego monografista (*Les grands écrivains français*, 1901), Gaston Paris; dalej niestrudzony badacz Marcel Schwob; wreszcie towarzyszył jego prac, Piotr Champion, który dotychczasową wiedzę o Villonie zamknął w pomnikowym wydawnictwie: *François Villon, sa vie et son temps* (P. Champion, Paryż 1913). Na podstawie wszystkich tych prac oparłem moje „przypisy”. W ostatnich latach ukazały się dwie urojone biografie Villona stylizowane dzisiejszą modą w formie powieści: Pierre d’Allheim, *La Passion de maître François Villon* (1924) i Francis Carco, *Le roman de François Villon* (1926).

WIELKI TESTAMENT

I

W trzydziestym życia mego lecie,
Hańbą do syta napoiony,
Ni żrały mąż, ni puste dziecię,
Mimo iż ciężko doświadczony
Kaźnią, ścirpianą z ręki krwawey
Tybota, pana Ossyńskiego...
– Biskup iest, pełen czci y sławy,
Mnie ta nie będzie za świętego.

II

Nie iest biskupem mym ni panem;
Ni ziarnam nie miał zeń, ni plewy;
Anim mu sługą, ni poddanym,
Ani o iego stoię gniewy;
Wodą y kęsem chleba suchym
Karmił mnie zacnie całe lato,
Na chłód przyodział mnie łańcuchem;
Niechay go Bóg wypłaci za to!

III

A gdyby ktoś mi chciał przyganić
Y rzec, iż ciężkiem miotam słowem:
Nie chcę ia (wiedzcie) xiędza zranić;
Ba, cóż, w ozwaniu się takowem
Tyle wam ieno słyszeć trzeba:
Ieśli on był mi miłościwy,
To niechay Jezus, xiążę Nieba,
Takiż mu będzie w żywot żywy!

IV

Ieśli był srogi y sierzysty,
Więcey niż mówić się przygodzi,
Niechay Bóg, sędzia wiekuisty,
Taż samą miarą mu nagrodzi!...
Lecz Kościół nam zaleca pilnie,

By modlić się za nasze wrogi,
Kaiam się tedy y niemylnie
Rzecz całą ślę przed boskie progi.

V

Tak, modlić się zań będę szczerze,
Na cnego Kotra mistrza duszę;
Ano, lekuchne to pacierze,
Do xiążki nierad się przymuszę.
Pikardzki pacierz⁸ mu ukropię;
Gdy nie zna – widzisz mi niezgułę! –
Iedź pilnie na naukę, chłopie,
Do Yl we Flandryey lub do Due.

VI

Ieśli chce, aby się za niego
Modlić – ha, świadkiem wszytcy święci!
Mimo iż wszem nie krzyczę tego,
Spełnione będą iego chęci;
Wnet Psalterz w dobrą porę chwytam,
Chocia oprawą mało zdobny,
Y siódmy wersset pilnie czytam,
Psalm: *Deus laudem...* dość sposobny...

VII

Do Syna modlę się Bożego,
Którego wzywam w każdej doley,
Iżby dotarła aż do Niego
Prośba ma, ieśli on zezwoli;
Który mnie wspiera nieustannie
Y wydarł z ręki mnie katowi,
Chwała mu y Nayświętszey Pannie,
Y cnemu królu Ludwikowi!

VIII

Niechay mu szczęście da Iakuba,
Salomonową cześć y chwałę;
Męstwa ma dość, od pięć do czuba,
Y siły takóż nie za małe.
Niech na tym biednym kręgu świata,
Iako iest długi y obszerny,

⁸ Modlitwa niewierzących, która z pewnością nie będzie spełniona.

Matuzalema żyje lata
Y trwa w pamięci ludu wierney.

IX

Dwanaście dziątek niech mu służy,
Chłopców, z krwi królów purpurowey,
Tak dzielnych iak ów Karol Duży,
Wszczętych w żywocie cney królowey;
Iako ów Marcyal święty dobrych.
Toż dla Delfina los podobny:
Na ziemi żywot czynów chrobrych,
W Raiu zbawienia kęs nadobny.

X

Chocia niewiele ia posiadam
Mienia, którego bych mógł zażyć,
Póki rozumu pełnią władam,
Z tego, czem raczył mnie obdarzyć
Bóg (ludzie mało!), w mey niedoley,
Spisuię ów testament walny,
Na znak ostatney moiey woley,
Iedyny y nieodwołalny.

XI

Piszę go w sześćdziesiątym roku
Y pierwszym, kiedy mnie wyzwolił
Dobry król z kaźniey y wyroku
Y znów ku życiu mnie pozwolił;
Za co, póki mi serce biie,
Zawždy on będzie mój dobrodziey,
Y czić go będę, póki żyię;
Dobra przepomnieć się nie godzi.

*Tutay poczyna Wilon wchodzić w materię
pełną erudycyi y dobrej wiedzy.*

XII

Prawdać, iż po bolesnych iękach,
Ucisku srogim a mitrędze,
Po ciężkich smutkach, wielkich mękach,
Mozołach długich y włóczędze
Cierpienie, bakalarstwo wraże,
Rozum otwarło mi, do biesa,

Barziewi niż wszystkie komentarze
Nad Arystotem Awerresą.

XIII

Jak często, wśród nasrogszej zimy,
Mnie, odartemu gorzej dziada,
Bóg, co emauskie wsparł pielgrzymy
(Jak Ewangelia opowiada),
Ukazał drogi kres pocieszny
N a d z i e i ą⁹ krzepiąc moją żalność;
Chociażby człek by jak był grzeszny,
Bóg karci ieno zatwardziałość.

XIV

Jam grzesznik, złego iadem struty,
Iednak Bóg nie chce mey katuszy,
Lecz nawrócenia y pokuty,
Y widzi, aż z szczerzyduszy
Czy z nagabywań k'niemu dążę;
Toć, ieśli weźrzy w me sumienie,
Snadno z występku mię rozwiąże
Y ześle na mnie przebaczenie.

XV

Y, jak ów piękny *Romans Róży*
Powiada (ba, nie bez powodu!),
W samym początku swej podróży,
Iż trzeba płochosć serca z młodu
Darować, ieśli wiek znów męski
Iest stateczniejszy, mnimam przecie,
Iż ci, co pragną moiey klęski,
Nie chcą mnie widzieć w męskim lecie.

XVI

Gdybych znał, iż publiczney sprawie
Może się to by na co przydać,
Jak mi Bóg miły, byłbych prawie
Sam siebie gotów na śmierć wydać.
Nikomiu ia nie życzę złego,
Żywli kto czy iuż zbawion duszy:
Ni w przód, ni w tył dla ubogiego
Góra się z mieścica nie poruszy.

⁹ Nadzieja (*espoir*) znajduje się jako zawołanie w herbie Burbonów.

XVII

Za Alexandra króla pono,
Człeka, zwanego Diomedesem,
Przed berło pańskie przywiedziono,
Skutego w łańcuch, het, z kretesem;
Ten ci Diomedes, niedobrego,
Zgarniał po morzu, co dołapil;
Za to był stawion przed sędziego,
Iżby na śmierć się szpetną kwapił.

XVIII

Cysarz tak ozwie się surowo:
„Czemuś iest zbóycą morskim, bracie?”
Aż tamten, mało robiąc głową:
„Czemu mnie zbóycą nazywacie?
Dłatego że na iedney łodzi?
Gdybych miał statków choć ze dwieście,
Nie byłbych, iako iestem, złodziey,
Lecz cysarz, jako wy jesteście.

XIX

Ale co chcecie?! Z doley moiey
(Przeciw losowi człek nie zradzi!),
Co mnie tak ciężko niepokoi,
Płynie to, co wam we mnie wadzi;
Daruy mi tedy biedne życie
Y wiedz, iż nędza nazbyt sroga
(Tak powiadają pospolicie)
To nie iest ku zacności droga.”

XX

Gdy cysarz dobrze to rzczenie
Diomedesowe w myśli zważył:
„Dolę twą (prawi) wnet odmienię
Lichą na dobrą.” Y tak zdarzył.
Zbóycą, opatrzeń hoynie złotem,
Żył odtąd zacnie, pełen chwały;
Walery nam zaświadcza o tem,
W i e l k i m wołany przez Rzym cały.

XXI

Gdyby Bóg kiedy mi dozwolił
Usłyszeć tak wspaniałe słowo,

Gdyby był szczęścia mi pozwolił,
Naówczas, skorobych na nowo
W grzech popadł, niechbych od pochodni
Wraz smolney zginął bez honoru:
Potrzeba ludzi pcha do zbrodni,
A głód wywabia wilki z boru.

XXII

Żałuję czasu mey młodości –
– Barzief niż inny iam weń szalał! –
Aż do mych lat podeszłych młodości
Iam pożegnanie z nią oddalał;
Odeszła; ba, ni to piechotę,
Ni konno; pomkła iako zaiąc;
Tak nagle uleciała oto,
Nic w darze mi nie ostawiając.

XXIII

Odeszła, a ia tu ostałem,
Ubogi w rozum y nauki;
Smutny, zmurszały duchem, ciałem,
Próżen rzemiosła, mienia, sztuki.
Nalichszy z moich (prawda szczerą),
Świętey zbywając powinności,
Krewieństwa mego się wypiera
Dla braku trochy majątności.

XXIV

Tem nie zgrzeszyłem, bym grosz trwonił
Na smaczne kąski, tłuste dania,
Anim za cudzem ia nie gonił,
By złotem płacić me kochania;
Z ludzim korzystał nie za wiele,
Tak świadczę (co tu wiele białać!),
Czegom nie winien, mówię śmieie:
Nad grzech nie lża się człeku kaiać.

XXV

Zaiste, nieraz miłowałem
Y miłowałbym ieszcze chętnie;
Lecz serce smutne z wygłodniałym
Brzuchem, co skwierczy zbyt natrętnie,
Odwodzą mnie z miłosnych drożek.
Ktoś inny, syty, swey ochocie

Folguie za mnie – Amor-bożek
W pełnym wszak rodzi się żywocie!

XXVI

Wiem to, iż gdybych był studiował
W płochey młodości lata prędkie
Y w obyczaiu zacnym chował,
Dom miałbych y posłanie miętkie!
Ale cóż, gnałem precz od szkoły,
Na lichey pędząc czas zabawie...
Kiedy to piszę dziś, na poły
Omiał że serca wnet nie skrwawię...

XXVII

Nadtom brał wiernie, co powiada
Mędrzec, y pismam wierzył słowu:
„Baw się, używaj, synu (gada),
W młodości swoiey”; ale znowu
Indziej zaświadcza barzo iaśnie,
Że „czas młodości kwietnych latek
(To iego słowa, takie właśnie!),
Ot, sama głupiość y niestatek”.

XXVIII

Dnie moje tako się rozbiegły
Iako, Hiob mówi, w lnianem płótnie
Nitki, gdy słomy garść zażegły
Tkacz przytknie doń; y żar okrutnie
Wnet strawi płótna sztukę całą,
Niedoszły ludzkiey szmat odzieży...
Nic mi iuż ciężkiem się nie zdało,
Śmierć bowiem wszystko wnet uśmierzy...

XXIX

Gdzież są kompany owe grzeczne,
Których chadzałem niegdy śladem;
Tak mowne, śpiewne, tak dorzeczne
W trefnym figielku, w słowie radem?
Iedni pomarli, leżą w grobie;
Nic tu iuż po nich nie ostało;
Dusze niech Bóg przygarnie sobie,
Ziemia niech strawi grzeszne ciało!

XXX

Z żywych dziś – iedni, Bogu chwała,
Możni panowie, z biedy szydzą!
Drugim – po prośbie iść bez mała
Y chleb za szybką ieno widzą;
Z inszych znów zakonniki godne,
Ba, ba, kartuzy, celestyny,
Trepki obuli se wygodne...
Różnie los sadza ludzkie syny.

XXXI

Możnym Bóg zsyła moc dobrego,
Żyją w spokoju y swobodzie;
W nich nie ma przeinaczać czego
Ani co rzec o tym narodzie;
Lecz biedakowi, co, w półżywy
Jak ia, do gęby czego włożyć
Nie ma, Bóg winien być cierpliwy:
Nad takim iakże mu się srożyć?

XXXII

Ci mają winka y pieczyste,
Ptaszęta, rybki, leśne zwierzę,
Sosy y smaki zawiesiste,
Iayca kładzione, z octem, świeże;
Nie są podobni do murarzy,
Którym trza służyć w wielkim trudzie.
Tu się pomocnik nie nadarzy;
Sami se zżuią, dobrzy ludzie.

XXXIII

Ot, w puste wdałem się baybaiu
Bez inszey racyey y przyczyny;
Nie iestem sędzią, panem kraiu,
By karać lub odpuszczać winy;
Ze wszystkich iam nayułomniejszy;
Niech będzie Jezus pochwalony!
Przeze mnie im się nie umniejszy!
Tak sobie bzdurzy człek szalony.

XXXIV

Zostawmyż ona materyę,
O ucieszniejszey mówmy sprawie;

Nie każdy rad z tey beczki piie:
Przykra iest y nieluba prawie.
Nędza, markotna, boleściwa,
Zawždy obrazy szpetne kryśli,
Zawždy w sądzeniu iest zelżywa;
Gdy nie śmie w słowach, boday w myśli.

XXXV

Biedakiem iestem iuż od młodu –
Ot, niebożęta leda iacy! –
Ociec mój był z biednego rodu,
Toż praszczur, co był zwań Horacy.
Bieda nas ściga aż do trumny.
Gdzie zewłok przodków mych złożony,
Nie sterczy tam grobowiec dumny,
Nie uźrżysz bereł ni korony.

XXXVI

Kiedy nad moią biedą kwilę,
Serce me często tak mnie pieści:
„Człeku, nie krzywdy sobie tyle
Y nie dopuszczay tey boleści.
Ieśliś nie dosyć użył sobie,
Zaliż nie lepiej pod łachmanem
Bydź żywym niżli leżeć w grobie
Z tem, żeś był kiedyś wielkim panem?”

XXXVII

Bydź niegdyś panem!... Cóż ia baię?
Panem! Ba, iako Dawid prawi,
Nie masz go, ani przemasz kraie,
Ni zgadniesz mieście, kędy bawi.
A zresztą, chudziak ia ubogi,
Nie mnie rozprawiać tak podniosło;
Niech o tem sądzą theologi,
To kaznodziei iest rzemiosło.

XXXVIII

Nie iestem, wiem to aż za wiele,
Synem anioła – brednie czyste! –
Diademu nie mam z gwiazd na czele;
Ociec mój umarł, świeć mu, Chryste,
Ciało spoczywa w ciasnym grobie...
Y matka, biedna kobiecina,

Niedługo życia wróży sobie;
Wnetki schowała też y syna...

XXXIX

Wiem, że bogate y ubogie,
Mądre, szalone, świeckie, xiędze,
Hoyne y skąpe, tanie, drogie,
Małe y duże, pychy, nędze,
Damy z kołnierzem w zmyślne rurki –
Iakie tam kolwiek godło czyie –
Iedwabie czy siermiężne burki:
Wszytko dołapi śmierć za szyie.

XL

Umarł y Paris, y Helena;
Kto bądź umiera, w męce schodzi;
Czy mu serdeczna pęknie wena,
Czy wnątrze żółcią się zasmrodzi,
Skona, złym potem uznoiony!
Nikt nie wspomůže nieszczęsnego,
Bo nie masz siostry, dzieci, żony,
By chcieli stanąć w tem za niego.

XLI

Śmierć go otrząśnie y poblodzi,
Nos mu przygarbi, napnie żyły,
Szyię mu wezdmie y rozsadzi,
Ściągną y nerwy odrze z siły.
Ciałko niewieście, tak wybornie
Gładkie, ach, więcey, niżli trzeba,
Musiszże mąk tych czekać kornie?
Tak, abo żywcem iść do nieba.

Ballada o paniach minionego czasu

Powiedz mi, gdzie y w iakiey ziemi
Iest Flora, rzymska krasawica;
Archippa, cud między cudnemi,
Tais, stryieczna iey siostrzyca?
Ty, Echo, co głos wracasz skory,
Gdy pomknie nad strumienia biegi,
Mów, gdzie są Piękne dawney pory?...
Ach, gdzie są niegdysieysze śniegi!

Powiedzcie, kędy iest uczona
Helois, dla miłości której
Abeylart Piotr, zmienion w kapłona,
Żal swój w klasztorne zamknął mury?
Podobnież, gdzie ta monarchini,
Co, śmiertelnemi szyjąc ściegi
Worek, gachowi grób zeń czyni?...
Ach, gdzie są niegdysieysze śniegi!

Królowa Blanka, iak lilia,
Syrenim głosem zawodząca,
Berta o wielkiej stopie, Lia,
Bietris, Arambur, Alys wrząca,
Iohanna, co w mężczyźńskiej szacie
Anglików gnała precz szeregi,
Gdzież są? Wy mówcie, ieśli znacie...
Ach, gdzie są niegdysieysze śniegi!

Przesłanie

Nie pytay, kędy hoże dziewczki
Idą stąd y na iakie brzegi,
Iżbyś nie wspomniał tey przyśpiewki.
Ach, gdzie są niegdysieysze śniegi!

Ballada *o panach dawnego czasu* *prowadząca daley* *ten sam przedmiot*

Co więcej? Gdzie iest Kalikst trzeci,
Ostatni dziedzic swego tronu,
Przez Chrystusowe czczony dzieci?
Y Alfons, władca Aragonu,
Y Artus, diuk Bretaniewy chrobry,
Y ów Burboński książę grzeczny,
Y Karol siódmy zwany Dobry?...
Kędy Szarlemań iest waleczny?

Gdzie król ów Szkocki bywa młody,
Co, iako prawią, miał pół gęby
Czerwone w leśney kształt jagody,
Od czoła prawie aż po zęby;

Król Cypru, książę wiekopomne,
Hiszpaniey król ów nieprzezpieczny,
Którego miana już nie pomnę?...
Kędy Szarlemań iest waleczny?

Nie chcę już więcej gadać, głupi;
Wszystko to ieno dym y mara;
Nikt się od śmierci nie wykupi
Za berło ani za talara;
To iedno ieszcze: król Bohemii,
Lancelot, y ów długowieczny
Dziad iego, gdzie są?... Pan Bóg z niemi!...
Kędy Szarlemań iest waleczny?

Przesłanie

Gdzie Klakin, zacny pan Bretoński?
Gdzie iest Owerniey graf dorzeczny,
Gdzie dobry książę Alansoński?...
Kędy Szarlemań iest waleczny?

Ballada

w teyże samey materyey

Gdzież są te święte apostoły,
Ubrane w alby, strojne w mitry
Y opasane w święte stuły,
By niemi czarta za kark chytry
Chwytać, gdy skrada się zdradliwie?
Śmierci otwarte w krag wierzeie,
Precz znika w ziemi to, co żywie,
Hey, iak ten wicher, co w polu wieie...

Gdzie iest ów z Konstantynopola
O złotey garzści cysarz zbożny?
Gdzie Francyey iest maiestat krola,
Nad insze króle wielgomożny,
Co wzniośl klasztory y świątynie,
W Bogu pokładłszy swe nadzieię;
Niegdy tak barzo czczony, ninie...
Hey, iak ten wicher, co w polu wieie...

Gdzie ów z Wiieny y Grenobli
Delfin waleczny, niebosięzny?
Gdzie ów z Dyżonu, Salins, Doli

Panów y xiążąt huf orężny?
Gdzie ich dworzanów ciżba płocha,
Heroldy, dworki, darmożreie?
Małoż napchali do bandziocha?...
Hey, iak ten wichr, co w polu wieie...

Przesłanie

Xiążęta, nie uydziecie doli,
Co w spolną spycha was koleie,
Czyli was mierzi to, czy boli...
Hey, jak ten wichr, co w polu wieie...

XLII

Skoroć papieże, króle władne –
Iak inszy lud urodzon w męce –
Pomarły y są dzisiaj żadne,
Y zdały władzę w inne ręce,
Ia, nędzarz, ia, ladaco płochy,
Nie miałbych umrzeć? Wyrok boży!
Bylebych zaznał wczasu trochę,
Śmierć mnie uczciwa nie zatrwoży.

XLIII

Świat ten, zaiste, nie iest wieczny,
Iako łupieżca możny mniema;
Wszystkich nóż czeka obosieczny;
Lepszey pociechy ponoć nie ma
Staremu, co za młodu sływał
Z uciesznych figłów y trefności;
Wierę, ze wzgardą bych go minął,
Gdyby na starość trwał w tey mdłości.

XLIV

Dzisiay mu skomleć boday chleba,
Do tego doła go przymusza.
Przed śmiercią drzeć mu wciąż potrzeba;
W męczeństwie żywię iego dusza;
Ha, gdyby nie przed Stwórcą trwoga,
Straszna by wzięła go ochota,
A czasem, wręcz zadrwiwszy z Boga,
Nędznego zbawić się żywota.

XLV

Jeśli mu młodość była kwietna,
Dziś dni nadeszły szare, brzydkie;
Zawždy iest stara małpa szpetna
Y takż iey figlasy wszytkie.
Gdy milczy w onym smutnym czasie,
Powiedzą: „Koniec już błaznowi”;
Gdy gada, milczeć każą zasię,
Iż nie ma smaku w tem, co mówi...

XLVI

Tak one biedne kobecięta,
Stare ze wszytkiem y bez soku,
Patrząc na młode, na dziewczęta
Rade, budzące radość w oku,
Pytają Boga, czemu, czemu
Tak wczesnie dano im się zrodzić?
Bóg milczy, bowiem, po dobremu,
Niełacno racyą im wygodzić.

*Żale piękney Płatnerki
dobrze już sięgniętey przez starość*

XLVII

Zda mi się, iakbych słyshał skargi
Płatnerki p i ę k n e y – gdzie te czasy! –
Iak żali się zwiędłemi wargi
Y, het, do dawney wzdycha krasy:
„Ha, ty starości, coś tak wczesnie
Z nóg mnie zwałała, ty niedobra?
Cóż dłoń mą trzyma, bych boleśnie
Wnet się nie pchnęła między ziobra?”

XLVIII

Zabrałaś mi tę iurną pychę,
Iaką czerpałam z mey urody,
Nad kupce, klechy, żaczki liche;
Naówczas bowiem stary, młody,
Wszelki człek dałby, co bych chciała,
Choćby y dusił grosz natwardziey,

Bylebych zwolić mu przystała
Tego, czem dziad dziś wszawy gardzi!

XLIX

Ha, nieiednemum odmówiła –
Ileż to czasu stradanego! –
Dła chłopca, com go ulubiła
Y com ta mogła, pchałam w niego;
Ienszym płałam to y owo,
Tegom kochała, do stu katów,
A on, iesli mi dobre słowo
Rzekł czasem, to dla mych dukatów!

L

Ile chciał, mógł mnie poniewierać,
Deptać – ot, tak iuż człek się wluł –
Mógłby mi kazać chrusty zbierać,
Byleby czasem przyhołubił,
Wraz przepomniałam mey niedoley!...
Świntuch, chorobą żarty sprośną,
Ścisnął mnie... Wspomnieć serce boli!
Cóż mi ostawił? Wstyd rzec głośno...

LI

Umarł – już dawno! – leży w grobie,
A ia szedziwa tu ostałam;
Gdy wspomnę, w oney szczęsney dobie
Czem byłam, a czem dziś się stałam,
Gdy w wieczór naga się oglądam
Y widzę się tak odmienioną,
Nędzną, wyschniętą, śmierci żądam,
Taka mi wściekłość szarpie łono.

LII

Cóż się z tem czółkiem stało lśniącym,
Kosą blond, brwią wygiętą w górę,
Spożrzeniem radem a palącym,
Co lazło chłopu het, za skórę?
Z tym noskiem zgrabnym, wdzięczną bródką,
Uszkami zmyślnie wyciętymi,
Z tą buzią, taką iasną, słodką,
Z piękniemi wargi rumianemi?

LIII

Co się zrobiło z karczkiem gładkim,
Ramionkiem krągło utoczonym,
Z cyczkiem drobnym, z iędrnym zadkiem,
Wyniosłym, schludnym, wręcz stworzonym
Na harców czułych przystań lubą;
A lędźwie, a ten słodki Raik,
Między ud parą krzepką, grubą,
Niby zaciszny, ślęczny gaik?

LIV

Czoło zmarszczone, włosy siwe,
Brwi oszczędne, oczy szkliste,
Niegdy wesołe, rozkoszliwe,
Niecałe w krąg szaleństwo czyste;
Nos zakrzywiony, szpetny zgoła,
Uszy kosmate y pobladle,
Gardziel obwisła iak u woła,
Broda y usta w głąb zapadle –

LV

Otoć piękności kres człowieczy!
Wyschnięte ręce y ramiona,
Łopatki wcale nie do rzeczy,
Szpetnie zmarszczony brzuch, wymiona,
Biedra nie lepsze też od brzucha;
Raik? Tfy! Udo, niechay zginę,
Nie udo, ale gałąź sucha,
Pstro nakrapiana w cętki sine.

LVI

Tak dobrych czasów żałujemy.
Gromada starych wieźm, siedząca
W kuczki, w żalości grzęznąć niemey,
Łachmanów kupa, ot, cuchnąca;
Niby konopnych sznur paździerzy,
Co ledwo zatli się, iuż gaśnie;
Niegdy kwiat ziemi, cudny, świeży:
Otoć samicza dola właśnie.”

*Ballada piękney Płatnerki
do dziewcząt letkiego obyczayu*

Pomniy ty, młoda Rozaliio,
Co rady żadasz w oney dobie,
Y ty, nadobna Cecyliio,
Teraz iest myśleć czas o sobie.
Bierz ieno chłopców, szaley z niemi,
Bierz pilno, by pirszego z brzegu;
Bo starzy są tu, na tey ziemi,
Iak grosz, co wyszedł iuż z obiegu.

Y ty, szewczycho Wilhelmino,
W tańcu wszelakim dobrze szczwana,
Też ty, rzeźniczko Katarzyno,
Nie chcey obrażać Stwórcy Pana;
Toć wszytkie, wszytkie iakże wczesnie
Starość powoła do szeregu!
Tak lube iako zgniłe trześnie
Lub grosz, co wyszedł iuż z obiegu...

Ioąsko, ty tam, młynarzowa,
Omotać się iednemu nie day;
Ty, Zośka, coś iak orzech zdrowa,
Gdzie możesz, krasę swoją przeday;
Minie uroda, gładkość luba
Stopi się w kształt brudnego śniegu;
Tyle wam będzie wasza chluba,
Co grosz wypadły iuż z obiegu.

Przesłanie

„Patrzcie, dziewczęta; łatam kiecki,
Łzy roniąc przy kaździutkim ściegu,
Iż mnie ostawił los zdradziecki,
Iak grosz, co wyszedł iuż z obiegu.”

LVII

Tak oto, do posłuszney młodzi,
Wczoraysza dziewczka mądrze gada;
Na złe czy dobre im to schodzi,
Wiernie spisuię, iak powiada,
Ręką Fremina, co prowadzi

Me pióro, pałka roztrzepana...
Niechay go czort, ieśli mnie zdradzi,
Toć wedle sługi sądzą pana.

LVIII

Owo, kto ima się kochania,
Tenci ku pewney bieży stracie...
Nieieden, słyszę, mi przygania
To słowo, mówiąc: „Hola, bracie,
Gdy od miłości precz cię żenię
Pań tych hultajstwo zbyt nieznośne,
Szaleństwem takie iest zwątpienie,
Wszakci są nierządnicie głośne.

LIX

Ieśli kochaia za grosz miły,
My ie kochamy tylko w naiem;
Łupią nas, ile maia siły,
Y wdzięcznem sercem świadczą wzajem.
Z tych każda ieno korzyść goni;
Lecz zacny człek, pomagay Boże,
Ku zacnym damom serce kłoni
Y szuka szczęścia w tym honorze.”

LX

Rad słucham, co mi tu świadczycie,
Lecz mędrszy z tego bydź nie umiem;
Ot, wedle tego, co mówicie,
Ieżeli dobrze was rozumiem,
Trzeba miłować godne panie.
Iakże, skąd wiem ia, czy te gniotki,
Które dziś wszystkim tak są tanie,
Takoż nie strzegły kiedyś cnotki?

LXI

Tak, żyły w cnocie y porządku,
Bez skazy y niiakiey zmazy;
Ba, cóż, toć prawda, iż z początku
Kaźda z tych panien, bez obrazy,
Wzięła se, zanim się sk...iła,
Ta klerka, owa żaczka, mnicha;
Tak ie potrzeba przynagliła;
Nie uśpić w kieckach złego licha!

LXII

Tak wzięły, co pisane komu,
Którey ta przypadł kto do gustu;
Miłować ięły po kryjomu,
Inszy człek nie miał tam dopustu.
Lecz cóż, niedługo onych statków:
Nieiedna z tego miłowania
W insze się puszcza y poślądków
Nikomiu w końcu iuż nie wzbrania.

LXIII

Co ie pcha k'temu? Nie chcąc części
Samiczey kalać, tako mniemam,
Że taki snadź iuż los niewieści;
Inszego sądu o tem nie mam;
Ba, powiedaią mądrzy ludzie
Y dobrze sprawę tę znaięcy,
Iż sześciu chwatów, w krzepkim trudzie,
Niż trzech urobi pono więcey.

LXIV

Podawać piłkę – rzecz to gasza,
A żeńska – chytać ią do siatki;
Ot, cała słuszność, nasza, wasza,
Takie miłości są zagadki;
Wiary w tych igrach ty nie pyta,
Choćby sto razy ją poprzysiąc,
Y słówko stare pilnie czyta:
„Za iedną rozkosz bólów tysiąc.”

Podwójna ballada w tymże samym przedmiocie

Miłuycie tedy, ile chcecie,
Weselcie się y trząście zdrowo,
Gdzie potrza, y tak dopłyniecie,
Nie ma ta nad czem robić głową.
Miłości dur ogłupia ludzi,
Salomon przez nią wszedł w pogany;
Naymędrszy boday się spaskudzi...
Szczęśliw, kto nie zna, co te rany!

Orfeusz, wdzięczny mistrz na fletni,

Chcąc folgę dać miłosney męce,
Omal nie zginął co naszpetniey
W Cerbera srogiey psiey paszczęce;
A Narcyz, młodzian pięknołicy,
W studni głębokiey pogrzebany,
Przepadł dla iakieyś krasawicy...
Szczęśliw, kto nie zna, co te rany!

Sardana, xiążę niezbyt słabe,
Co Kreteę wyspę zawoiował,
Rad był się przeinaczyć w babę,
Iżby śród dziewcząt dokazował;
Król Dawid, prorok w świecie rzadki,
Boiaźni bożey zzuł kaydany
Widząc gładziuchne dwa pośladki...
Szczęśliw, kto nie zna, co te rany!

Ammon, udaiąc słabość ostrą,
Gdy go z litości hołubiła,
Sprosności czynił z Tamar, siostrą,
Aż się dlań szpetnie przyk...iła;
Herod, za tańce y figielki,
Przez tanecznicę ubłagany,
Ianowi zrobił despekt wielki...
Szczęśliw, kto nie zna, co te rany!

O sobie biednym też rzec muszę:
Zbito mnie, niby w rzece płótno,
Na goło, drągiem... Na mą duszę,
Tę kaźń któż ziednał mi okrutną,
Jeśli nie Kasia czarnooka?
Wzięły po grzbiecie y kompani,
Ciurkiem płynęła tam posoka...
Szczęśliw, kto nie zna, co te rany!

Lecz iżby przez to żaczek młody
Dzierlatki młode miał ostawić,
Nie, chociaby go, łbem do wody,
Iak czarownika miano spławić,
Słodsze mu niż zbawienie własne!
Ba, wierzy im li obłąkany:
Czarne brwi mają czy też jasne...
Szczęśliw, kto nie zna, co te rany!

LXV

Gdyby ta, której'm niegdy służył
Z wiernego serca, szczeręy woley,
Przez którą'm tyle męki użył

Y wycirpiałem moc złey doley,
Gdyby mi zrazu rzekła szczerze,
Co mniema (ani słychu o tem!),
Ha, byłbych może te więcierze
Przedarł y nie lażł iuż z powrotem.

LXVI

Co bądź iey ieno kładłem w uszy,
Zawždy powolnie mnie słuchała –
Zgodę czy pośmiech maiąc w duszy –
Co więcej, nieraz mnie cirpiała,
Iżbych się przymknął do niej ciasno
Y w ślepka patrzył promieniste,
Y prawil swoje... Wiem dziś iasno,
Że to szalbierstwo było czyste.

LXVII

Wszytko umiała przeinaczyć,
Mamiła mnie, niby przez czary;
Zanim człek zdołał się obaczyć,
Z mąki zrobiła popiół szary;
Na żużel rzekła, że to ziarno,
Na czapkę, że to hełm błyszczący,
Y tak zwodziła mową marną,
Zwodniczem słowem rzucający...

LXVIII

Na niebo, że to misa z cyny,
Na obłok, że cieleca skóra,
Na ranek, że to wieczór siny,
Na głąb kapusty, że to góra;
Na stary fuzel, że moszcz młody,
Na świnię, że to młyn powietrzny,
Na powróż, że to włoszek z brody,
Na mnicha, że to rycerz grzeczny...

LXIX

Tak moje oto miłowanie
Odmienne było y zdradliwe;
Nikt tu się ponoś nie oстане,
By zwinny był iak srybło żywe;
Každy, ścirpiawszy każń nieznośną,
Na końcu będzie tak zwiedziony
Iak ia, co wszędy zwa mnie głośno:
„Miłośnik z hańbą przepędzony.”

LXX

Precz od się ścigam już Amory,
Plwam na obłudne te nadzieje;
Mógłby człek skąpieć oney pory,
Ni ie to ziąbi ani grzeie.
Na kołku wieszam me narzędzie,
Galantów już nie pódę szlakiem;
Ieżelim bywał wprzód w ich rzędzie,
Gardzę już dziś rzemiosłem takim.

LXXI

Sztandar rozwiiam mój swobodne;
Niech idzie za nim, .kto łaskawy;
Rzucam materię mało godną
Y znów do inszey wracam sprawy;
A ieśli na mnie kto zawarczy,
Iż śmiem Amorom hańbę zadać,
Niech za odpowiedź to mu starczy:
„Kto zdycha, wszystko lża mu gadać.”

LXXII

Wiem, że już czas mi w lepsze kraie;
Charkam – materia biała, brzydka –
Plwociny niby kurze iaie;
Cóż stąd? Ba cóż? To, że Brigidka
Nie chce mnie trzymać już za chłopca,
Chociam daleki siwey brody...
Głos, minę mam starego skopca,
Choć w rzeczy ze mnie spiczak młody...

LXXIII

Bogu y Tybetowi dzięki,
Co tyle wody dał mi żłopać,
Iż w dole ciemnym z głodney męki
Nogami przyszło ziemię kopać
Skutemi... Z onym dobrym panem
Rachunek przy pacierzu co dzień
Robię: niech Bóg mu... a m e n, a m e n,
To, co ta myśli biedny zbrodzień...

LXXIV

Wszelako źle nie życzę iemu
Ani też iego marszałkowi,

Takoż y panu burgrabiemu,
Dobremu z serca człowiekowi;
Czego samemu życzę panu,
Każdemu też z osobna służce;
Kocham ich, wedle czci y stanu...
Iako psi dziada w wąskiej dróżce.

LXXV

Pomnę, gdy z miastem się żegnałem,
Hey, w roku pięćdziesiątym szóstym,
Legacik mały tam spisałem,
Który nieiedni, własnym gustem,
Raczyli nazwać *Testamentem*;
O moją zgodę w tem nie stoią:
Ha, nie iest człeka prawem świętem,
By władał nad własnością swoją!

LXXVI

Odwołać, nic nie odwołuję;
Com dał, ma święte bydź, u czarta;
Ponownie stwierdzam y testuję
Spadek zacnego imć Bękartu
De la Bar; do trzech wiązek siana
Słomiankę starą mu dodaię,
Na obiad dla dobrego pana;
Raz w życiu niech się syto naie.

LXXVII

Gdyby nie każdy z oney ciżby
Otrzymał zapis, com przeznaczył,
Życzę po moim zgonie, iżby
U spadkobierców pytać raczył;
Którzy są, świadczę to niezłomnie:
Moro, Proweniec, Roben Turgam;
Owi tem pismem biorą po mnie
Nawet to łóżko, kędy ligam.

LXXVIII

Dość iuż, sza, ani pary z brzucha;
Do testowania iuż się biore;
Kleryk mój, Fremin, który słucha
(Ieżeli nie śpi), w każdą porę
Zaświadczy oto, co powiadam,
Iż dla nikogo nienawiści

Nie mam y wszystko, co tu gadam,
Mniemam po dobru, iż się ziści.

LXXIX

Czuję, iak serce moje mięknie;
Iuż człek od mdłości ledwie dyszy;
Niech Fremin przy mem łóżku klęknie,
Nikt obcy niechay nas nie słyszy;
Bierz papier, pióro, spisz chędogo,
Wiernie tak, iako ci dyktuję,
A potem odpisz razy mnogo
Y rozday wszędy. Iuż testuję.

Tutay zaczyna Wilon testować.

LXXX

Tak: W imię Oóca Przedwiecznego
Y Syna iego, króla ziemi,
Oócowi swemu współwiecznego,
Takoż Świątego Ducha z niemi,
Co ród Adama odkupili
Y, plemię wznosząc wzwyż przekłete,
Niebo niem samo ozdobili,
Czyniąc z nich wobec Pana święte.

LXXXI

Ciałem y duszą ród wszeteczny
Zgubiony był, iż obmierzył Panu;
Ciało w proch, dusza w ogień wieczny,
Iakiey by kolwiek płci y stanu;
Wyjątek czynię tu od biedy
Z proroków (rodzą się, ba, z rzadka),
Nie sędzę bowiem, iżby kiedy
Płomień im dobrał się do zadka.

LXXXII

A gdyby rzekł ktoś: „Skąd tak śmieie
Ważysz się prawić swoje baśnie,
Nie będąc zacnem czem w Kościele,
Tobież to o tem sądzić właśnie!”
Mówię to w IEZUSOWYM duchu,
Który położył Bogatego
W ogniu, nie wcale w miętkim puchu,
Zaś Trędowatych wyżey niego.

LXXXIII

Ba, gdyby palec Łazarzowy
Takoż był żarty od płomienia,
Nie byłby ów kornemi słowy
U niego zebrał ochłodzenia.
Opilców los tam czeka srogi,
Pragnienia męki wiekuiste;
Skoro napitek tam tak drogi,
Zbaw nas od złego, Panie Chryste.

LXXXIV

Przez imię Boga, iak powiadam,
Y maci iego, Panny słodkiej,
Nie masz wszak grzechu w tem, co gadam,
Ia, chudszy niżli upiór wiotki;
Jeślim od febry nie szczeł marnie,
Cud boży, głoszę to z ochotą!
Insze niedole y męczarnie
Zmilczę y tak zaczynam oto:

LXXXV

Po pierwsze, biedne tchnienie moje
Oddaję wielkiej Troycy Świętej;
Na boże składam ie pokoie
W kościele Panny Wniebowziętej;
Pokornie prosząc zmiłowania
Dziewięci iasných chórów nieba:
Niechay się laska ich nie zbrania
Zanieść podarek ten, gdzie trzeba.

LXXXVI

Item, me ciało grzeszne zdaie
Ziemi, wielmożney rodzicielce;
Robactwo się ta niem nie naie,
Głód ie wysuszył nazbyt wielce.
Niechże ie przyimie żyzne łono;
Co z ziemi, w ziemię się obraca;
Wszelka rzecz, słusznie mówią pono,
Chętnie do swego mieśca wraca.

LXXXVII

Item, dobremu oócu – więcey! –
Mistrzowi Wilhelmu Wilonowi,

Co mnie hołubił niż mać mięcey,
Pieszczot nieskapa dzieciątkowi,
Co mnie z opressyi zbawił wielu
Y dzisiay ieszcze rad by zbawić:
Błagam was, dobry przyiacielu,
Nie daycie się żałości strawić.

LXXXVIII

Ścierp, bym ci xiązki me zapisał,
Y Powieść o *Dyabelskiej Bździnie*,
Co ią Tabaryn Wit przepisał
(Z prawdomówności w świecie słynie!);
Pod stołem leżą te poszyty;
Mimo że nie iest styl zbyt gładki,
Przedmiot, tak wielce znamienity,
Nagrodzi wszelkie niedostatki.

LXXXIX

Item, dla dobrej mey mateńki
(By Pani naszej cześć oddała),
Co wiele ze mną miała męki,
Bóg wie, y wiele przecirpiała,
Tę modlitewkę do Dziewicy:
W niey cała ufność ma y wiara;
Inszey ia nie mam dziś fortycy,
Ani mać moia, biedna stara!

Ballada,
iaką Wilon napisał na prośbę
swey matki, aby ubłagać łaski
Nayświętszey Panny

Królowo niebios, cysarzowo ziemi,
Pani monarsza czeluści piekielnych,
Przym mnie, pokorną między pokornemi,
Niech pośród sług twych siadę nieśmiertelnych,
Mimo iż barzo niegodna twej łaski,
Dobroć twa, pani nadziejskey pociechy,
Więtsza o wiele niżli moje grzechy;
Bez niey daremnie duszy się wydzierać
Tam, kędy świecą wiekuiste blaski.
W tey wierze pragnę żyć iak y umierać.

Twemu Synowi powiedz, że w nim żyję;
Iżby me grzechy wymazał do tyła,
Iako Egipską rozgrzeszył Maryię
Lub iak wybawił mędrca Teofila,
Który przez ciebie spełnił święte dzieła,
Mimo iż diabłu zaprzedał swą wolę.
Strzeż mnie, bych w taką nie popadła dołę,
Dziewico, któraś, nie racząc otwierać
Żywota, owoc bez zmazy poczęła.
W tey wierze pragnę żyć iak y umierać.

Prostaczka iestem stara y uboga,
Nic nie znam – liter czytać nie znam zgoła –
Oprócz parafii mey niskiego proga,
Gdzie ray oglądam y harfy dokoła,
Y piekło, w którym potępieńców prażą.
Iedno mnie trwoży, drugie zaś raduie;
O day, Bogini, niech wciąż radość czuię!
Ku tobie duszy day grzeszney pozierać,
Z ufnością w sercu y rzetelną twarzą.
W tey wierze pragnę żyć iak y umierać.

Przesłanie

W twoim żywocie, o można Bogini,
Iezus, rzuciwszy precz niebiańskie kraie,
Począł się; dla nas oto cud ten czyni:
Opuszcza niebo y spieszy nas wspierać;
Na śmierć swą krasę młodzieńczą oddaie,
On naszym Panem y iego wyznaię.
W tey wierze pragnę żyć iak y umierać.

XC

Item, Różyczce, mey królewnie,
Serca iey nie dam ni wątroby,
Wolałaby co insze pewnie,
Mimo iż dosyć ma chudoby;
Co? Sakwę wielką y głęboką,
Pełną dukatów – boskie rany! –
Niechże wygniie temu oko,
Kto iey ostawi grosz złamany.

XCI

Zgarnęły dość te lube rączki,
Lecz o to dzisiaj się nie troszczę:
Przeszły już mojej krwi gorączki,
Żądza już łądzwiów mi nie chłoszcze;
Gdzież ten mój patron, bez obrazy,
Co go Rypała świętym zwano?¹⁰
Za jego duszę ze trzy razy
Hocniycie sobie: ano, ano.

XCII

Mimo to, aby uczcić zdrowiem
Amory, nie zaś na iey chwałę
(Nie wyżebrałem u niey bowiem
Miłości by ździebelko małe;
Nie wiem, czy innym równie sroga,
Czy barziewy była z nimi blisko;
Ale na imię klę się Boga,
Iam zyskał ieno pośmiewisko).

XCIII

Tę przekazuję iey Balladę,
W rytmy odzianą dość misterne;
Kto ją zanieś? Skoczcie rade,
Kto z was ma wolę, druhy wierne;
Byleby, skoro tylko spotka
Mą pannę wdzięczną, wraz na ucho
Rzekł iey: „Skądże to, moja słodka,
Skąd Bóg prowadzi, k...o, plucho?”

Ballada Wilona dla swej miłej

Zawodna miłości, cierpieniem zbyt droga,
Okrutna w skutku, w słodyczy obłudna,
Miłości twardsza niżli stal złowroga,
Mogę cię nazwać: morderczyni cudna,

¹⁰ Aluzja do postaci słynnego w XIV w. rozpustnika.

Serca biednego ty śmiertelny czarze,
Pycho sekretna y wszystkim iednaka,
Oczy okrutne – czyż ludzkość nie każe
Nie dręczyć, ale wspomagać biedaka?

Lepiej bych czynił szukaiąc pomocy
Indziej, w przystani iakiey barziew lubey;
Nic mnie nie zdoła wybawić z twej mocy,
Trzeba mi pchać się sromotnie do zguby;
Eyże, mężczyzna czy też dziecko ze mnie?!
Y cóż stąd? Zginę, skoro doła taka...
Choć litość radzi, niestety daremnie:
Nie dręczyć, ale wspomagać biedaka.

Przydzie ta chwila, kiedy czas, zbyt skory,
Pozółci, zmarszczy twe nadobne kwiecie;
Śmiałbych się, gdybych doczekał tey pory:
Ba, nie, naówczas – ieśli żyw na świecie –
Staruchem będę, ty maskarą podłą.
Owoc goń zdrowo; gdyż mnie leda iaka,
Bądź lepsza innym y miej to za godło:
Nie dręczyć, ale wspomagać biedaka.

Przesłanie

Xiążę, ty kochasz; wraz bierze mnie trwoga,
Iż krzywem okiem spożrzesz na cherlaka;
Lecz zacna dusza powinna, prze Boga,
Nie dręczyć, ale wspomagać biedaka.

XCIV

Item, imć Marszan Ytierowi,
Com niegdy mieczyk mu ostawił,
Daię (melodię sam niech łowi!)
Tę piosnkę, iżby się nią bawił;
Wraz *De profundis*, pieśń żałośną
Na dawne iego miłowanie;
Imienia wam nie nazwę głośno;
Niech iego wola w tem się stanie.

Piosnka lub raczey rondo

Śmierci, dayże mi odpocznienie,
Ty, coś wydarła mi mą miłą,
Ieszcze cię to nie nasyciło,
Ieszcześ na moje chciwa mdlenie?
Wnet dech twóy z świata mnie wyżenie.
Lecz cóż ci życie iey wadziło,
Śmierci?
W dwoygu nas iedno serce biło;
Gdy zmarło, trzebaż y mnie tchnienie
Wyprzeć lub istnieć iak te cienie,
Które twe giezło pobładziło,
Śmierci...

XCIV

Item, Mistrzowi Rogatemu
Ianowi święcę legat nowy,
Ile że zawsze mnie biednemu
Sprzyjał y chronił moiey głowy;
W zamian ogródek mu przekażę,
Co mistrz Bobiniom, ubłagany,
Przedał mi, ieśli rychło każe
Naprawić drzwiczki y parkany.

XCVI

Ten brak zamknięcia mnie kosztował
Osełkę y z motyki drzewo;
Anoż człek oczy wypatrował
W tę noc, ćwiczony psią ulewą!
Dom pewny, byle zawrzeć pilnie,
Pogrzebacz dałem mu za godło;
Kto bądź go znalazł, klął tam silnie
Na twarde leże y noc podłą.

XCVII

Item, iż cnego Mistrza Iana
Saint-Amant godna żona (iuści,
Ieśli w tem hańba lub przygana
Iest taka, niech iey Bóg odpuści)
Dziadem mnie podłym nazowiła,
W mieście „Białego Konia”¹¹; ano
Niech mu usłuży ma kobyła:
Daley uiedzie w ciepłe rano.

¹¹ Biały Koń, „Au Cheval Blanc”, godło znanej paryskiej szynkowni.

XCVIII

Item, dla imci Dyonizego
Hesselin, parizkiego posła,
Czternaście wiader najlepszego;
Byleby sługa ie przyniosła
Na mój podlawszy koszt z gospody.
Gdyby zalewał się zbyt grubo,
Niech do baryłek wleją wody;
Wino nieiednym było zgubą.

XCIX

Item, adwokatowi memu,
Mistrzowi Szaro Wilhelmowi,
Testuję y oddaie iemu
Kozik... O pochwie się nie mówi...
Reala zań uzyska snadnie –
Niechże mu kabza miła spuchnie –
O ile komu go ukradnie
Lub inszym kształtem z łapy zdmuchnie.

C

Item, mój prokurator miły,
Furnier za dobre swe procesy
Weźmie (hup, bratku, co masz siły!)
Trzy garzście groszy z moiey kiesy.
Wielokroć pomógł mi w potrzebie,
Iako ia trafem ie nacyzyszym
Nalazłem – żywy Bóg na niebie! –
Z iednei my sfory z dobrym mistrzem.

CI

Item, imć Ragier mistrz Iacenty
Otrzyma z Rynku Wielki Kubek¹²
Gdy wprzód uiści cztery centy;
Choćby miał przędac, biedny dzióbek,
To, czem okrywa nagie udko,
Y gnać bez pludrów y bez gaci,
Co rano, tuż po wstaniu krótko,
„Pod Szyszkę” ku swey wierney braci.

¹² Wielki Kubek, godło paryskiej szynkowni.

CII

Item, co Marbof albo zgoła
Mikołaj Luwier, z tymi bieda:
Nie dam im krowy ani woła,
Nie woło-bóyce są to leda,
Ba, sokolniki radniey zwinne –
Nie sądźcie, że to trefność zdrożna –
Co kuropatwy, też y inne,
Biorą... w traktierni... prosto z różna.

CIII

Item, niech Turgis wraz tu stanie,
Za winko wzięte mu nagrodzę;
Jeśli naydziecie me mieszkanie,
Wrózek z was będzie szczwany srodze;
Legatem po mnie dostaniecie
Do radzieckiego prawo stołka:
„Mam ie, parizkie żem iest dziecię”,
A zmówcie pacierz za wesółka...

CV

Item, Ianowi Ragierowi,
Z liczby sierżantów – ba, „Dwunastka”!¹³ –
Formalny legat mój stanowi
Codziennie kęs tłustego ciastka,
Ściągnięty z kuchni pisarzowey,
Iżby se bandzioch naładował;
Przy studni łyk niech gulnie zdrowy,
Bo iadła sobie nie żałował.

CVII

Item, ze straży prefektowey,
Daie – są bowiem pełni zalet,
Słodyczy wszelkiey y namowy,
Dyonizy Ryszer y Ian Walet –
Każdemu kornet; niech uwiesi
Przy kapeluszu go, gdy łaska,
To jest, strażnicy, myślę, piesi,
Bo tamtych inszych ślę do diaska.

CXVI

¹³ Jeden ze Straży Dwunastu w więzieniu Châtelet, znany ze swego apetytu.

Toż braciom zebrzącego stanu,
Cepculom takóž y siostrzyczkom
Z Pariza czy też z Orleanu,
Hey, turlupinom, turlupiczkom,
Dać iakobińskiej zupki tłustey
Siarczystą michę na kolacyę,
A późniey niech się na trzy spusty
Wraz zamkną na swe kontemplacye.

CXVII

Owo, nie ia im tak wygodzę,
Lecz matki ich śliczniutkich dziątek,
Bóg ich tak raczy, iże srodze
Cierpią dlań wszelki niedostatek;
Ha, muszą żyć oóczaszki miłe,
Zwłaszcza, rozumiem, ci parizcy!
W zamian damulkom zbożną siłę,
A mężom miłość święcą wszyscy.

CXVIII

Co bądź tam prawił, nicdobrego
Mistrz Ian Pulieński, potem ślicznie
Ze wstydem wyrzekł się wszytkiego,
Gdy go przyparto w tem publicznie.
Mistrz Ian Mehuński też dworować
Ważył się z pilney mniszey krzoski;
Wierzcie mi, ludzie, trza szanować
To, co szanuie Kościół boski.

CXIX

Owo ich sługą się wyznaię,
Tak czyny memi iak y słowy,
Cześć z woley, z serca im oddaię,
Bez sprzeczki służyć wszem gotowy;
Szaleniec chyba na nich szczeka,
W kościele bowiem czy na rynku,
Czy inak, skoro raz człowieka
Na ząb swój wezmą, szczeleś, synku.

CXXII

Item, panowie auditorzy
Pokóy niech mają pięknie zdobny;
Ci, co na strupy w zadku chorzy;
Stolec tam naydą dość sposobny;
Zasię Maryśka z Orleanu,
Która mi wzięła śrybny pasek,
Ciężką niech grzywnę spłaci panu:
K...a a ona – ieden diasek.

CXXIV

Item, mistrzowi Lorensowi,
Co ma kaprowe biedne ślepki
Z winy rodziców, iże owi
Dzban ssali w sposób nazbyt krzepki,
Poszewkę mu z mey sakwy daię,
Iżby wycierał ie co rano...
Cienszey materii mi nie staie;
Niech przymie z serca, iak y dano.

CXXV

Item, mistrzowi Ianu Kotru,
Co stawał za mnie w tribunale
(Talaram jeszcze temu kmotru
Winien, nie myślę przeczyć wcale),
Gdy piękna Dyzia ięła skargi
Miotać, iż szpetnie ią zelżyłem,
Odmówcie zań zbożnemi wargi
Modlitwę, co ią ułożyłem.

Ballada y modlitwa

Ty, ócze Noe, coś sadił szczep winny,
Locie, coś popił tak zdrowo u skały,
Aże miłości chucie niepowinney
 Cór własnych imać wręcz ci się kazały
 (Nie mówię, aby cię za to niesławić),
Architryklinie, głowo niezrównana,
 Wszystkich trzech proszę, byście chcieli zbawić
Duszę dobrego mistrza Kotra Iana.

Z waszej familiey zrodzon duch ten bratni,
On, co rad piiał naydrogsze y przednie,
Chociaby grosz miał wyłożyć ostatni,

Kompan wytrwały, hej, w nocy czy we dnie;
Kubek do pasa przytraczał rzemykiem,
Zawždy napirwszy cisnął się do dzbana;
Szlachetne pany, uczciycie tym łykiem
Duszę dobrego mistrza Kotra Iana.

Częstom go widział, gdy w spóźnioney dobie
Snuł się iak staruch, co w nogach się chwieie;
Nieraz na czele guza nabił sobie

O próg lub szynku zaparte wierzeie;
Nie było pewnie y w naydalszym kraiu
Do wszelkiew bibki lepszego kompana;
Wpuśćcież więc, skoro zapuka do Raiu,
Duszę dobrego mistrza Kotra Iana.

Przesłanie

Xiążę, zaledwie chwilę przestał doić,
Wraz krzyczał: „Raty, gardziel znów spękana!”
Nigdy pragnienia nie mogła ukoić
Dusza dobrego mistrza Kotra Iana.

CXXVI

Item, chcę, aby Szpaczek Młodszy
Mieniał wszelakie me walory:
Radość to mieniać, mój najsłodszy
Iezu, byleby każdej pory
Płacił, bez targu ani psoty,
Za trzy talarki dukat ważny,
Za dwa szelągi choć półzłoty:
Kochanek musi byđż posażny.

CXXVII

Item, widziałem w mey podróży,
Że moje biedne trzy sieroty¹⁴
Podrosły y że wiek im pluży,
Toż duch się wzmógł w nadobne cnoty;
Y że od Salins do Pariża
Tęgszych w tey szkole nie masz pono;
Ba, na świętego Paraliza,
Nie wszytka młodość iest szaloną!

¹⁴ Chodzi o trzech lichwiarzy.

CXXVIII

Owo chcę, aby szli w naukę;
Gdzie? Do Ryszeta Pietra, mistrza.
*Donatem*¹⁵ ia ich nie przytlukę;
Mitręga to ci iest nyczystsza.
Niech znaia, tyle sobie życzę,
Ot: *tibi decus, salus, ave*,
Insze rozummy są zwodnicze,
Nie wszystkim niosą grosz y sławę.

CXXIX

To niech posięda, boday z biedą,
Y na tem zrobię iuż ostatek;
Zasię przeniknąć wielkie *Credo*
Za duzo to dla takich dziatek.
Przedrę mój płaszcz na dwoie, ano
Połówkę raczcie przędać, proszę:
Kupcie im ciastek ze śmietaną;
Młodość łakoma jest po trosze.

CXXX

Chcę, aby wzrosli w obyczaiu –
By nawet różgi użyć czasem –
Oczęta iak u duszy w raiu,
Rączki skromniutko, tak, za pasem;
Wszystkim pokorne y iednacie,
Mówiące: „Wasza Mość pozwoli!”
Aż rzekną ludzie widząc takie:
„Oto mi dziatki dobrej woley!”

CXXXI

Item, mym biednym klerykusiom
(Com iuż me prawa zdał im inne),
Dzieciaczkom hożym, lubym trusiom,
Widząc buziuchny ich niewinne,
Opuszczam im należność moią –
Ieśli się zaprę, iestem szelma;
O termin niech się też nie boią! –
Na domu Giedryia Wilhelma.

¹⁵ Donat – Aelius Donatus, sławny autor gramatyki łacińskiej.

CXXXII

Płochy są jeszcze y bez treści,
Ba, sądzę, nie ma czym się trwożyć;
Za lat trzydzieści lub czterdzieści
Zmienia się, ieśli Bóg da dożyć.
Źle czyni, kto złość ku nim czuie;
Miłe są dziatki y łagodne;
Głupi, kto różdżki im żaluie:
Tak z dziatek rosna ludzie godne.

CXXXIII

By zacna bursę biedne żaczki
Dostały, moje w tem staranie;
Nie śpią tak iako owe szpaczki,
Co śpią przez kwartał nieprzerwanie.
Ba, smutny sen to, gdy niebacznie
Przysypia młody duch w młodości;
Trza mu się późniey trudzić znacznie,
Gdy odpoczywać czas w starości!

CXXXIV

Do kolatora, za ich sprawą,
Piszę dwa listy iedney treści:
Do modłów ich zyskałem prawo;
Nie chcą? Ha, ćwiczcie, co się zmieści!
Nieieden wielce się cuduie,
Skąd miłość moja do tej braci,
Ale przysięgam y ślubuie,
Żem ani wachał ieich maci!

CXXXV

Item, imć Kuldu Michałowi
Y Karlotowi imć Taranie
Szelałów sto; gdy który powie
„Skąd?” – o to mnieysza, dość, że tanie;
Toż parę botków z skóry cienkiej,
Żółtych od zoli po cholewki;
Iżby przywdziali te ciżemki,
Gdy wybrać raczą się na dziewczki.

CXXXVI

Item, imć panu Grynieńskiemu,
Com niegdy Wicetr mu testował,
Bileńską turmę daię iemu,

Byleby, ieśli wiatr zepsował
Drzwi, okna, wszystko do miesiąca
Naprawił czysto y chędogo;
grosz niech troska go nie zmacą:
Ia nie mam nic, on też niemnogo.

CXXXVIII

Basanierowi *item* panu,
Co iest pisarzem w kryminale,
Iak to u ludzi tego stanu:
Pierniczków kosz, kopyaty wcale;
Tyleż Motemu, Ruelowi,
Iżby, pierniczkiem tym uięci,
Zacnemu panu prefektowi
Służyli z barziewy szczerey chęci.

CXXXIX

Któremu tę Balladę święcę
Dla iego pani urodziwey;
Nie wszystkim miłość w szczodrey ręce
Niesie te dary: wielkie dziwy!
Toć on wywalczył swoją damę
W turnieyu króla Reneusa,
Zagnawszy w kozi róg – nie kłamię! –
Hektora oraz Troilusa.

*Ballada,
iaką Wilon udarował pewnego
świeżo ożenionego szlachcica, iżby
posłał ją swey małżonce, którą
zdobył sobie mieczem*

O świcie, kiedy głuszce na swym toku,
Wiedzione żądzą y cnym obyczaiem,
Skrzydłami pleszczą y z radością w oku
Parzą się chciwie, y hołubią wzaiem,
Dzielić chcę z tobą, pani moia miła,
To, co kochankom iest świętem wesołem;
Wiedz, że to Miłość te igry stworzyła,
Y oto, czemu iesteśmy tu społem.

Będiesz mi panią serdeczną, bez sporu,
Aż się nie spełni żywot nasz, zbyt krótki;
Najsłodszy laurem moiego honoru,
Róźdzką oliwną, koiącą me smutki;

Rozum mi każe – y w takiej potrzebie
Nakazy jego przyimę iasnym czołem –
Bych nie ustawał w mych służbach dla ciebie;
Y oto, czemu iesteśmy tu społem.

Co więcey, kiedy boleść na mnie spadnie
Z rąk losu, gdy ów na mnie się pogniewa,
Twe wdzięczne oko ią rozproszy snadnie,
Tak iako wiater mglisty dym rozwiewa;
Takoż nie stracę ziarna, co go sieię
W twey roli, którą w pacht od Boga wziąłem;
Wnet owoc luby z niey mi się zaśmieie;
Y oto, czemu iesteśmy tu społem.

Przesłanie

Xięzniczko, usłysz, coć rzekę w tey dobie:
Iż sercem całem w twey wierze spocząłem;
Tegoż nadziewam się, pani, po tobie;
Y oto, czemu iesteśmy tu społem.

CXL

Item, Ianowi Perdyerowi
Ni Franciszkowi, bratu iego,
Nic; ano, ieśli mi kto powie,
Że nie szczędzili mi dobrego,
Za to, w szczególney dość potrzebie,
Franiszek przez swóy ozór szpetny,
Na wpół z rozkazu, na wpół z siebie,
Uzcził mnie w sposób zbyt szlachetny.

CXLI

Ieśli na rozdział w Taiawencie,
Gdzie o pieczystym rzecz, zażrzycie,
Ani w Zapustach, ni w Adwencie
Recepty tey nie uświadczycie;
Ale Makary, dobry święty,
Co dyabła wraz ze skórą smażył,
Iżby mu lepiej poszło w pięty,
Ten przepis podać się odważył.

Ballada

W czerwoney siarce, arseniku żrącym,
W orypimencie, w saletry rozczyńie,
Toż w wapnie żywem y w ołowiu wrzącym,
W smole y łoiu, rozrobionych w szczyńie
Żydówki starey, y pocie cuchnącym,
Y nóg toczonych trądem popłuczynie,
W gnoiu, co mości zdeptane trzewiki;
W ziołach śmiertelnych, iadzie bazyliżki,
W żółci krogulca, nietoperza, liszki,
Niechay się smażą zawistne ięzyki!

W mózgu kocura, co iuż ryb nie chwytą,
Bo mu iuż zęby y szczęki wygniły,
W ślinie starego kundla, co do syta
Nakarmion życiem, martwy legł bez siły,
W dychawicznego muła rzadkiey pianie
Drobno kraianey do króliczey bździny,
W wodzie, gdzie czynią nadobne figliki
Szczury, ropuchy, żaby y ich panie,
Węże, padalce y inne ptaszyny,
Niechay się smażą zawistne ięzyki!

W odwarze ziadłey, trującey bruśnicy,
W pępku wpółzdechłey iaszczurki, w posoce,
Co ią na misie suszą cyrulicy,
Gdy xiężyc pełny idzie w letnie noce –
Ta czarna, owa iak czosnek zielony –
We wrzodzie rączym, w miednicy skażoney,
Gdzie mamki krwawe wyciskają śluzy;
W kąpiółce trzykroć rozgrzaney podwiki
(Zna, co to, każdy, kto zwiedzał zamtuzy),
Niechay się smażą zawistne ięzyki!

Przesłanie

Xiążę, iżeli sita ani worka
Nie masz, chcey przesiać one smakołyki
Przez ofaydaną dziurę u rozporka;
Lecz wprzódy w łajnie diablego Amorka
Niechay się smażą zawistne ięzyki!

CXLII

*Item, Ianowi Kurń, mistrzowi,
Przeciwrzeczenia one święcę:
Tyrana, który się sadowi
Wysoko, nie chcę możney ręce
Zawdzięczać nic; iako powiada
Mędrzec: od takich z dala bywać
To dla biedaka iedna rada,
Aby nieszczęścia nie wyzywać.*

CXLIII

*Gontira ia się nie ustraszę;
Iak nikt, tak w iego tropy idę;
Lecz w tem się różnią ścieżki nasze,
Iże on chwali swoją biedę;
Bydź biednym, w zimie iak y w lecie,
On to za rozkosz ma iedyną,
Dla mnie zaś gorszey doli w świecie
Nie masz. Gdzie racya? Sądźcie ino!*

Ballada zatytułowana: Przeciwrzeczenia Fran-Gontirowe

*Na miętkim puchu canonicus gruby,
W kownacie ciepłej, dostatnio wysłaney,
Legł sobie obok Sydonii lubey,
Białey y giadkicy, y wdzięcznie przybraney.
Przy słodkiem winie miłosną pogwarke
Wiodą, na przemian w łóżku y przy stole,
Wprzód obnażywszy ciała należycie:
Iak was tu widzę, widziałem przez szparkę!
Wówczas poznałem, że na duszne bole
Nie masz nic w świecie nad wygodne życie.*

*Gdyby Fran-Gontir y iego druhini
Mieli do smaku onych darów Nieba,
Czosnku, cebuli, co szpetnym dech czyni,
Nie szukaliby ni zgrzebnego chleba;
Aniby na myśl im nie przyszło może
Na goley ziemi ligać wraz pokotem;
Jeśli z rozkoszą dzielą serca bicie
Pod krzakiem róży, żaliż miętkie łoze
Nie lepsze? Iako? Możnaż wąpić o tem?
Nie masz nic w świecie nad wygodne życie.*

Chleb iedzą suchy, gruby y owsiany
Y pią wodę, ile dni iest w roku;
Ha, wszytkich ptasząt śpiew zaczarowany
Nie obstałby mi przy takim wyroku
Ni na dzień ieden, na ieden poranek.
Owo niech sobie, ze swoją Heleną,
Fran-Gontir igra – snadnie ich uźrzycie
Pod dzikim głogiem – niesyty kochanek;
Ba, ia tam swoje będę prawil ieno:
Nie masz nic w świecie nad wygodne życie.

Przesłanie

Xiążę, ty rozsądz; od tegoś iest xięciem;
Ale, co do mnie, w łasce wybaczycie,
Lecz ieszcze miodem słyszałem dziecięciem,
Że nie masz w świecie nad wygodne życie.

CXLIV

Item, co tyczę się wielmożney
Pani de Bruier, bożey służki,
Niechay umacnia w wierze zbożney
Siebie y takoz swe dziewczuszki;
Niechay panienki te nawraca
O buzi pięknie wyszczekaney:
Ba, czeka ią pięknieysza praca,
Kędy z iarzyną są stragany.

Ballada *o niewiastach parizkich*

U kaźdey w świecie białey głowy
Bystrość ięzyka rzecz nierzadka
Y nie brak im zazwyczaj mowy,
Tym zwłaszcza, co iuż idą w latka;
Wszelako z Rzymu, z Lombardyey
Wiodą się, z dala czy też z bliska,
Z Piemontu czy też z Wenecyey –
Nie masz gębusi iak parizka.

Mowności daią nam przykłady
Greczynki, Neapolitanki,

Dziób maiā też nie od parady
Sabaudki iak y Prusyaniki;
Węgierki takoz̄, Egipcianki
Z wyparzonego głōsne pyska,
Iszpanki czy też Katalanki –
Nie masz gębusi iak parizka.

Zbierz wraz Gaskonki, Niemki, Włoszki,
Niech staną w turniey na wymowę:
Z Małego Mostu dwie kumoszki
Wnetki pobiią ie na głowę;
Angielki czy też Kalezianki
(Mogę to rzec bez pośmiewiska),
Pikardki albo Walencianki –
Nie masz gębusi iak parizka.

Przesłanie

Xiążę, parizkim damom snadnie
W ów ięzyczny czas igrzyska
Pierwszy iuż pono laur przypadnie –
Nie masz gębusi iak parizka.

CXLV

Spóyrz na nie – Iezu ty naysłodszy! –
Rozsiadły się w kościelney nawie
Na swoich kieckach, po dwie, po trzy;
Podsuń się blisko, nie tchniy prawie;
Sam Makrob, choć był tęgim chwatem,
Tak zacnych sądów nie wydawał;
Słysz tylko: coś skorzystasz na tem,
Nauki piękny iest w tem kawał.

CXLVI

Item, Monmarckiey oney górze –
Mieście od wieka szanowane –
Daie y przypisuię wzgórze
Waleryiańską Górą zwane;
Prócz tego worek wiozę cały
Odpustów z Rzymu (milka drogi!),
By chrześciani odwiedzały
Ten klasztor, samcom nazbyt srogi.

CXLVII

Item, dziewczątek rzeszy grackiej,
Służebnych co z lepszego domu,
Co pieką torty, ciasta, placki,
By w nocy hulać po kryjomu...
Nic tam wypróżnić dwa, trzy garnce,
Dopóki państwo snem zmorzone;
Później, w poufnej już pogwarce,
Grać je uczyłem w „męża-żonę”...

CXLVIII

Item, panienkom rodu cnego,
Co mają oćce, matki, ciotki,
Nic!... Ich dworzanki, bez wszytkiego,
Wzięły wszelaki kącyczek słodki;
Biedne dziewczęta: swą męczarnię
Wnet by zgasiły bądź czym lada;
By ochłap tego, co tak marnie
U iakobinów z stołu spada!

CXLIX

U celestynów, u kartuzów,
Mimo iż minę mają świętą,
Naydzie się snadnie u tych tuzów
To, czego zbywa tym dziewczętom;
Świadkiem Ioaśka, Izabelka,
Piotrusia – te umieją broić! –
Skoro ie spiera mgłość tak wielka,
Żali grzech byłby ie ukoić?

CL

Item, Małgośce, grubey dziopie,
Wdzięczney z humoru y z gębusi –
*Brelar Bigod*¹⁶, a walże, chłopie! –
Dosyć potulney sobie trusi,
Kocham ią, iaka iest, y kwita,
Ona mnie takóż, dama słodka,
Niech iey Balladę tę przeczyta,
Kto ią trefunkiem w świecie spotka.

¹⁶ Zniekształcone przekleństwo angielskie: by Lord, by God – Na Boga!

Ballada
o Wilonie y Grubey Małgoście

Ieśli ią kocham y służę z ochoty,
Zaliż kpem przez to y pluchą się zdawam?
Ma ona w sobie, wierę, piękne cnoty,
Głośno iey miłość y służby wyznawam;
Niech przyda goście, wnet za dzban iuż chwytam,
Po wino pędzę, znoszę ser, owoce,
Podsuwam wodę, podpłomyki świeże,
Gdy dobrze płacą, żegnam rad y witam:
„Wróćcie, panowie, pędzić chutne noce
W bordelu, kędy mamy zacne leże”.

Ale wnet potem, Panie Iezu Chryste,
Gdy w łoże Małgoś wróci bez szeląga,
Z wściekłości zbiera mnie szaleństwo czyste,
Chwytam za kiecki, .sam chwytam się drąga,
Wołam, iż przechląm iey szmaty do nitki;
Aż ona na to – ha, ścierwo sobacze! —
Krzyczy, przeklina, pod Boki się bierze,
Że ni tknąć nie da. Wówczas siniec brzydki
Na gębie pięścią sumiennie iey znaczę,
W bordelu, kędy mamy zacne leże.

Iuż zgoda. Małgoś pieścę mnie po głowie,
P...dnie siarczyście, wzdęta iak ropucha,
Śmiejąc się swoim picusiem nazowie,
Życzliwie nóżką przygarnie do brzucha;
Schlani oboie śpimy iak barany;
Zasię gdy rankiem burknie iey w żywocie,
Wyłazi na mnie na jutrzne pacierze,
Aż ięknę pod nią, na poły złamany,
Y tak się bawim pławiąc się w swym pocie,
W bordelu, kędy mamy zacne leże.

Przesłanie

Deszcz, grad, wichura, mam mój chleb powszedni;
Małgośka świnia, iam też świntuch przedni;
Kto lepszy z dwoyga? Pusty śmiech mnie bierze,
Iak płaszcz z poszewką, tak my – rzekę szczerze —
Plugastwu radzi, żyiem też plugawo,
Iak sława nami, tak my gardzim sławą,
W bordelu, kędy mamy zacne leże.

CLI

Item, Maryśce, zwaney Iaie,
Toż y Ioaśce Brukołuce
Publiczney szkoły prawo daię,
Gdzie uczeń mistrza kształci w sztuce.
Gdzie stąpić, szkoła owa kwitnie
(Wyjąwszy ieno każń mehyńską!),

Aż iey nieieden snadno przytnie,
Iż kurwią iest, a nie dziewczynską.

CLII

Item, Gładkiemu Noelowi
Tęgą garzść – oto dar iedyńy,
Iaki ten legat mu stanowi –
Z ogródka mego świeżey trzciny;
Nikt pewnie go nie pożałue,
Ba, sprawiedliwość to nyczystsza;
Dwieście mu różeg zapisuie
Z ręki Henryka, cnego mistrza.

CLIII

Co Szpitalowi dać Bożemu
Y inszym, nie wiem; tu na psoty
Nie czas, ni słowu mknąć trefnemu;
Dość biedny naie się zgryzoty,
Nikt go czem zacnem nie ugości;
Żebrzącym Braciom idą z prawa
Naytłustsze kąski, im zaś kości...
Ha, biednym ludziom biedna strawa...

CLIV

Item, moiemu balwierzowi,
Tuż wpodle Angla Herborysty,
Imieniem Mrozik Kolinowi,
Sopelek lodu... prezent czysty,
Iżby go chował w wierney pieczy,
Trzymając pilnie wpodle brzucha;
Gdy się tak w zimie ubezpieczy,
Letnia nie zmoże go posucha.

CLV

Item, Dzieteczkom N a l e z i o n y m
Nic, ba: s t r a c o n y m trza mi radzić;

Jeśli ich nądę w kątku onym,
U Mańki Iaie – miast się wadzić,
Niech posłuchała: w oney szkole
Przeczytam im lekcykę małą;
Niech baczy, kto ma dobrą wolę;
Niech iuż ostatnia, iak się zdało.

*Piękna lekcyia
Wilona do straconych dziatek*

CLVI

Dziateczki miłe, toć stradacie
Naypirsze dobro, wy mi wiercie;
Kleryczki zacne, wy, co macie
Lipkie rączęta, skóry strzećcie;
Do Montpipeau y do Ruelu
Kolen Kaieński biegł ochotnie¹⁷,
W iurności wielkiej y weselu;
Ano, szezł późniew dość sromotnie...

CLVII

Nie o orzechy gra to wcale,
Idzie o ciało, ba, o duszę;
Kto przegra, na nic późne żale;
Hańbę ten ścirpi y katusze!
Kto wygra, ten y tak Dydony
Kartaskiej w łożu nie obłapi;
Bezecny chyba y szalony
Do gry się z taką stawką kwapi

CLVIII

Ieszcze na chwilę zbliźcie uszy:
Mówię (bydź musi prawda zatem),
Że beczkę zawždy się wysuszy,
Przy ogniu w zimie, w chłodzie latem;
Toż piniądz, jeśli macie, wszytek
Do nowey kwapi się podróży.
Komuż on idzie na pożytek?
Co źle nabyte, to nie płuży.

¹⁷ Tu: popełniać kradzieże kieszonkowe, rabować.

*Ballada
zawierająca dobrą naukę
dla chłopiat złego życia*

O, czyś handlarzem iest odpustów,
Frantem, szalbierzem, graczem w kości,
Sparzysz się, na kształt tych oszustów,
Co ich przygrzano do białości;
Czyś zdraycą iest, co wstydu nie ma,
Rabusem, gwałcicielem święta,
Gdzie zysk wasz idzie – iak kto mniema? –
Wszystko na karczmę y dziewczęta.

Drwiy, rymuy, śpieway, gray na fletni,
Iak ci szaleńcy, bezwstydnicy,
Trefnuy, mać wodę co naszpetniey,
Wyczyniay w miastach, na ulicy
Błazeństwa, igry, komedyie,
Wygryway w kręgle y karciećta:
Gdzież wszystko idzie? Mam dać szyię?
Wszystko na karczmę y dziewczęta.

Od takich plugactw miey się z dala;
Imay się pługa, sierpa, brony;
Koniom służ, boday za kowala,
Ieśliś iest człowiek nieuczony;
Lecz ieśli płótno, len, konopie
Przędziesz, gdzie póydzie ta zaczęta
Praca, gdy skończysz? Wiesz-li, chłopie?
Wszystko na karczmę y dziewczęta.

Przesłanie

Pludry, kaftany, krasne płaszczce,
Suknie y wszystkie wręcz szmacięta
Idą na figle te hulaszczce –
Wszystko na karczmę y dziewczęta.

CLIX

Do was, kompany, mówię, grzechu,
Profesyi swey druhowie wierni,
Strzeżcie się wszytcey złego dechu,
Co wnet po śmierci ludzi czerni;
Zarazy oney unikaycie,

Strzeżcie się iey nad wszystko w świecie
Y prze Bóg miły, pamiętajcie,
Iż przydzie dzionek, że pomrzecie.

CLX

Item, biedaczkom Ociemniałym
(Z Paryża, nie zaś którym innym)
Ten legat czynię sercem całym,
Wielce im czując się powinnym;
Tym okulary moje daię,
By mogli, czyniąc w tem początek,
Uczciwe ludzie a hultaie
Osobno grześć u Niewiniątek.

CLXI

Tu iuż nie pora na zabawę!
Cóż im, że żyli w zbytku wszelkim,
Żłotali winko, zasnę strawę
Pchali do brzucha, w łożu wielkim
Czynili sobie co dnia zadość,
Wesele wiedli y festyny?
Wnetki przemiia cała radość,
A pozostaią ieno winy.

CLXII

Kiedy na one patrzę głowy,
Het, porzucone w tey kostnicy,
Rozeznać pośród ciżby owey
Człek by się silił po próznicy,
Gdzie zacne są referendarze,
Kędy biskupy znów nadobne,
Pachołki czy też dygnitarze –
Iedne do drugich zbyt podobne!

CLXIII

Y te, co drugim się kłaniały,
Stąd czerpający w świecie sławę,
Y te, co inszym królowały
Posłuch w nich niecąc y obawę,
Wszystkie tam leżą, ot, pośnięte,
Iedna kopica zesypana,
Władztwo im wszelkie iest odięte;
Nie masz tam sługi ani pana.

CLXIV

Pomarli – niech do Niebios bramy
Trafia duszęta! – ciało szczęło.
Pany to były czy też damy
Wdzięczne, bladziutkie niby gieżło,
Karmione ryżem y śmietaną –
Kości ich w proch się rozsypały;

Nic im iuż śmieszki, gierki... ano
Przym ich ta, Iezu, do swey chwały!

CLXV

Pomarłym czynię to życzenie,
Za świadki biorąc tribunały,
Regenty, sędzię, zacne xienie,
Chciwości wrogi y zakąły,
Co dla publiczney sprawy zbożney
Daliby pociąć się na ćwierci –
Bóg y Dominik wielkomożny
Niech z grzechów zbawi ie po śmierci.

Rondo

Gdybym wrócił z więzienia twardego,
Tchu niemal pozbywszy w tey głuszy,
Czyż ieszcze y więcey katuszy
Mam zaznać od losu srogiego?
Toć sądzę, iż radniey się wzruszy
Y zbawić mnie zechce od złego,
Gdym wrócił...
Któż chciałby mi życzyć iuż tego.
Bych zmarniał na ciele y duszy;
Ach, Bóg mi niech serce rozkruszy,
Niech dążę radośnie do Niego,
Gdym wrócił...

CLXVII

Item, mistrzowi Lomerowi
Testuię miłość u płci gładkiej,
Wara mu ieno ode wdowiey
Kondycyi, panny lub mężatki;
Takoż nie wolno mu grosika
Wyłożyć na te cne figielki;

Poza tym, niech po stokroć tryka,
Że niczem rycerz Ogier Wielki.

CLXVIII

Kochanków rzeszy udęczoney
Z Szartierowego kwartą mleczka
Łzawnicę daię; niech sprzęt ony
Wciąż maią w głowach ,u łóžeczka;
Kropidłem przy tej kropielnicy
Gałązka głogu, wciąż zielona;
Odmówcie ieno, miłośnicy,
Psalm za niebożę, za Wilona...

CLXIX

Item, Żamsowi Iakobowi,
Co pilnie się o dobro stara,
Ile chce dziewcząt, niech stanowi,
Ale zaślubić którą – wara;
Na kogo zbiera? Na bachory;
Nie skąpi ieno dla swey gęby;
Ba, co poczęte iest z maciory,
Z prawa niech świniom idzie w zęby.

CLXX

Item, dla imci Seneszala,
Iż raz popłacił moje dłużki,
Dworskiego urząd mam kowala,
Co kuie gęsi y kaczuszki;
Gdy owo nuda go przyciśnie,
Posyłam mu te oto brydnie;
Gdy chce, do pieca niech ie ciśnie:
W niewoli nawet śpiewka brzydnie.

CLXXIII

Ianowi z Kale, cnemu człeku –
By rzecz wyłożył barziewy z bliska –
Co mnie nie widział od pół wieku
Y nie zna mego imioniska,
Gdyby w tym walnym Testamencie
Zaszły przeszkody (rzecz nierzadka!),
Moc daię y zalecam święcie,
Aby wyczyścił rzecz do gładka.

CLXXIV

Niech go glozuie, komentuie,
Określa, iako go zrozumiał;
Niech pieczętuie, przepisuie,
Chociaby pisać sam nie umiał;
Niechay powiększa y umnieysza,
Niech go wykłada dookolnie,
Na lepsze czy na gorsze, mnieysza;
Na wszystko godzę się powolnie.

CLXXV

A gdyby ktoś, bez wiedzy moiey,
Przeniósł się chyłkiem do wieczności,
Temuż Kalemu moc przystoi
(By wszystko było po słuszności
Y zapis się wypełnił snadnie),
Inszemu legat niech doręczy,
Nie zaś dla siebie go ukradnie;
Sumienie iego w tem mi ręczy.

CLXXVI

Item, chcę, niechay moje ciało
Pogrzebią u Iadwigi świętey;
Nie indziej; izby zaś przetrwało,
Tak iak się kryśli dokumenty
Inkaustem, niech mą postać kryślą
(Ieśli ten przepych niezbyt drogi);
Grobowca nie chcę, wiedzion myślą,
By nie obciążać zbyt podłogi.

CLXXVII

Item, chcę, aby na mym grobie
Tę, co tu podam, zwrotkę małą
W dość znacznym kształcie y sposobie
Spisano; gdyby zaś nie stało
Inkaustu – węglem, czarną krydą,
Byleby trwale y wyraźnie;
Niech boday ci, co po mnie przydą,
Dowiedzą się o dobrym błaznie:

CLXXVIII

TU LEGŁ, Z AMORA DŁONI SROGIEY,
Z SERCEM BOLEŚNIE SKALECZONEM,
ZACZYNA LICHY Y UBOGI,
CO BYŁ FRANCISZKIEM ZWAŃ WILONEM;
ZIEMI NIE POSIADŁ NI ZAGONA,

ODDAWAŁ WSZYTKO: CHLEB, KOSZYCZEK,
STÓŁ. ANO TEDY, ZA WILONA,
ODMÓWCIE BOGU TEN WIERSZYCZEK:

Rondo

DAY BÓG SPOCZYNEK ZASŁUŻONY,
ŚWIATŁOŚĆ Y POKÓY WIEKUISTY
TEMU, CO PŁUGA ANI BRONY
NIE POSIADŁ, NI KOSZULI CZYSTY;
NAGI, DO SKÓRY OGOLONY,
NA SPOSÓB RZEPY OBLUSZCZONEY,
DAY BÓG SPOCZYNEK ZASŁUŻONY!

SROGIM WYROKIEM PRZEPĘDZONY,
WBREW APELACYI UROCZYSTEY,
W SAM ZADEK CELNIE UGODZONY,
BŁĄKAŁ SIĘ TUŁACZ WIEKUISTY.
DAY BÓG SPOCZYNEK ZASŁUŻONY...

CLXXIX

Item, chcę, aby mi dzwoniono
W dzwon znaczny, co nawiętsze grzebie;
Ha, komuż się nie wstrząśnie łono,
Gdy się w nim serce zakolebie;
Wiadomo, słać go nie trzeba,
Nieraz ten piękny kray obronił;
Naieżdźcę czy też pieron z nieba,
Głos iego wszystko precz przegonił.

CLXXXI

Trzeba by ieszcze ustanowić
Legatu cne exekutory,
Ba, coraz ciężey mi iuż mowić,
Nie żartem ponoś człek iest chory;
Brwi, rzęsy, włosy, wszystko boli,
Swędzi od pięty do ciemienia;
Pilnieysza tedy zda się koley
U wszystkich pytać przebaczenia.

*Ballada,
w której Wilon pyta u wszystkich
przebaczenia*

U celestynów y kartuzów,
Żebrzących braci y dewotek,
Wąlkoniów młodych, nabiyguzów,
Dworek służebnych y ślicznotek,
Co mile szczerzą buziak słodki,
Galantów, co bez okulenia
Wzuwają ciasne żółte botki –
U wszystkich pytam przebaczenia.

U sikor, co gdzie mogą, rade
Ukazać są cycuszek biały,
Graczów, co wszędy niosą zwadę,
Biboszów ssących dzban wystały,
U błaznów, co wśród błahych śpiewek
Przetrwają noc bez odpocznienia,
U wdów rzęsistych y u dziewczek,
U wszystkich pytam przebaczenia.

Prócz ino owych psów zawziętych,
Co twardym chlebem mnie raczyli,
Dzień w dzień strzec każąc postów świętych
(Bodayby sami łąyno żryli!),
Gdyby nie to, iż ot, na stołku
Siedzę, pierdnąłbych dla uczczenia
Tey braci; ulżyi se, wesołku!...
U wszystkich pytam przebaczenia.

Przesłanie

Niech im kto siódme mości zebra,
Wziąwszy tęgiego gład kamienia
Lub kiy sękaty; niech ich febra...
U wszystkich pytam przebaczenia.

*Ballada,
służąca na zakończenie*

Tutay zamyka się *Testament*
Y ubogiego rzecz Wilona;

Przybądźcie wznieść pogrzebny lament,
Gdy usłyszycie granie dzwona.
Miłości pomarł on ofiarą;
Odziecie tedy się szkarłatem:
Przysiągł to na swą kuśkę starą,
Kiedy rozstawał się z tym światem.

Miłości pomarł męczennikiem,
Z sromotną niegdyś wyżeniony
Hańbą, wygnany z klątwą, z krzykiem,
Tak iż, het, het, w dalekie strony
Nie masz zarośli ani krzaka,
Których by łąchów swoich szmatem
Nie przyozdobił... Dola taka!...
Kiedy rozstawał się z tym światem.

Tyleż y zebrał w świecie plonu;
Na grzbiecie łachman ten ubogi,
Co większa, ieszcze w chwili zgonu
Miłości żgały go ostrogi,
Ostrzeysze niżli kole stalowy;
Ano, przed owym iurnym gnatem
Z szacunkiem trza pochylić głowy...
Kiedy rozstawał się z tym światem.

Przesłanie

Xiążę, tak rzeński iak ów młody
Kobuz, do końca wytrwał chwatem,
Ba, gulnął tęgi łyk, bez wody,
Kiedy rozstawał się z tym światem.

Koniec Wielkiego testamentu

KODYCYL

List do przyjaciół w formie ballady

Litości, bracia, weźrzycie łaskawie,
Weźrzycie, ieśli wola, na sierotę!
W piwnicy ligam, nie na kwietney trawie,
W onem wygnaniu, kędy w żalu trawie,
Z wyroku Boga, ból mój y sromotę.
Wy, gaszki hoże, nadobne dziewczeczki,
Tancerze, skoczki, gromado szalona,
Żywe y zwinne iak młode koteczki,
Gardziołka iasne iak srybne dzwoneczki –
Czyż opuścicie biednego Wilona?

Rybałty śpiewne bez miary niiakiey,
Gładysze w słówkach y czynach ucieszne,
Skoczne y lotne, w grosz letkie wszelaki,
Pośpieszcież, psotne wy moje iunaki,
Toć on tymczasem wyda życie grzeszne!
Śpiewak! rondów, motetów, piosneczek,
Na nic polewka mu będzie, gdy skona;
Gdzie liga, słońca nie zażrzy promyczek,
Z murów mu grubych spleciono koszycek
Czyż opuścicie biednego Wilona?

Póydźcież go użryć w tey ciężkieu potrzebie,
Wy, pany możne, maiące w udziale
Dziedziny wasze – gdzie poźrzeć przed siebie –
Nie od cysarza, ba, od Boga w niebie;
Pościć mu trzeba we wtorek, w niedzielę;
Zęby ma dłuższe niż ten szczur ubogi,
Do chleba wzdycha, nie zaś do kapłona,
Woda mu w kiszkach czyni lament srogi,
Pod ziemią mieszka, bez stoła, podłogi –
Czyż opuścicie biednego Wilona?

Przesłanie

Xiążęta moi, zaklinam was święcie,
Zdobądźcie króla odpusty, pieczęcie,
W was cała moia nadzieią, obrona;

Tak, w słoń gromadzie jedna drugiej życzy,
Y wszystkie pędzą, gdzie która zakwicy –
Czyż opuścicie biednego Wilona?

*Nadgrobek w formie ballady,
który Wilon sporządził dla siebie
y swoich kompanów, nadziewaiąc się
bydź z nimi powieszony*

Bracia, z was, coście ostali na świecie,
Niech nienawiści nikt ku nam nie czuie;
Gdy miętkie serce mieć dla nas będziecie,
Y was Bóg radniey kiedyś się zlituie;
Widzicie nas tu, wiszące straszliwie;
Ciało, o które dbaliśmy zbyt tkliwie,
Zgniłe, nadżarte, wzrok straszy i hydzi:
Kość z wolna w popiół y proch się przemienia;
Niech nikt z naszego nieszczęścia nie szydzi,
Lecz proście dla nas wszystkich odpuszczenia!

Jeśli błagamy was, toć się nie godzi
Odplacać wzgardą, mimo iż skazano
Nas prawem. Wiedzcie, po ludziach to chodzi,
Iże nie wszystkim w głowie statek дано;
Wspomóżcież tedy biednych modły swemi
U Syna Maryey, Pana wszelkiej ziemi,
Iżby nie chybił łaski y pomocy,
Od czartoskiego broniąc nas płomienia.
Zmarłe jesteśmy – tu kres ludzkiej mocy;
Lecz proście dla nas wszystkich odpuszczenia!

Deszcze nas biednych do szczętu wyprały,
Do cna szerniło, wysuszyło słońce;
Sępy y kruki oczęta zdióbały,
Włoski w brwiach, w brodzie wydarły chwieiące,
Nigdy nam usieść ni spocząć nie wolno;
Tu, tam, na wietrze kołyszem się wolno;
Wciąż nami trąca wedle swego dechu,
Ptastwo nas skubie raz w raz bez wytchnienia:
Nie day Bóg przystać do naszego cechu,
Lecz proście dla nas wszystkich odpuszczenia!

Przesłanie

Ty, Xiążę Iezu, nad wszem państwem możny,
Chroń dusze nasze od Piekieł roszczenia:

Niaki mieć z niemi nie chcemy zbliżenia;
Ludzie, nie czas tu na pośmiech bezbożny,
Lecz proście dla nas wszystkich odpuszczenia!

Ballada o apelacji Wilonowej

Cóż mówisz o obronie mojej,
Gamierze? Iako ci się zdawa?
Wszelki zwierz o swe futro stoi;
Gdy nań ktoś dybie y nastawa,
Umyka z karkiem, ile zdoła;
Gdy mnie na czyste powieszenie
Skazano, przez szalbierstwo zgoła,
Byłże czas wtedy na milczenie?

Gdybych Kapelom był pokrewny,
Co się z rzeźników ponoś wiodą,
Nie czczono by mnie, iestem pewny,
Tak szczodrze w iatce oney wodą.
Rozumiesz te figielki? ano,
Skoro na głupie osądzenie
Homilie te mi odśpiewano,
Byłże czas wtedy na milczenie?

Czyś myślał wręcz, iż się nayduie
W tey główce tyle przytomności,
By w sam czas wrzasnąć: „Appeluję”?
Owo tak, proszę Ich Miłości,
Mimo iż niezbyt dufny w sobie,
Gdym przed regentem to rzeczenie:
„Masz dyndać!”, słychnął, w oney dobie
Byłże czas wtedy na milczenie?

Przesłanie

Xiążę, gdybych miał w gębie skóbel,
Iuż byłbych, krukowi na pieczenie,
Zawisnął, iak ten straszy-wróbel:
Byłże czas wtedy na milczenie?

*Rozprawa
serca y ciała Wilonowego
w kształcie ballady*

- Kto się odzywa?
– Ia.
– Któż?
– Serce twoie,
Co ledwie trzyma się na nitce kruchey.
Iuż nie mam siły, tchu: dychnąć się boię,
Kiedy cię widzę, iak spuściwszy słuchy,
Wszyłeś się w kącik, na kształt biedney psiny.
– Cóż mię tam pędzi?
– Twe szalone czyny.
– Y co ci o nie?
– Trawią mnie zgryzotą.
– Dayże mi pokój!
–Nie.
– Uźrzysz y inne.
– Kiedy?
– Gdy miną mi lata dziecinne.
– Nic iuż nie mówię.
– Y nie stoię o to.
– Co ty zamierzasz?
– Zostać tęgim człekiem.
– Masz lat trzydzieści.
– Y muł tyleż żyie.
– Czy to dziecięctwo?
–Nie.
– Dur tedy z wiekiem
Chwyta się ciebie?
– Którędy?
– Za szyię.
Nic nie rozumiem.
– Owszem: muchy w mleku,
Ot, białe, czarne, tak iest y w człowieku.
– To wszytko zatem?
– Y cóż chcesz? Z ochotą,
Jeśli nie dosyć, rozpocznę na nowo.
– Zgubiony iesteś.
– Trza nadrabiać głową.
– Nic iuż nie mówię.
– Y nie stoię o to.

– Mnie żal, a tobie boleść y cirpienie.
Gdybyś był głupkiem; gdyby pałąką biedną,
Nalazłbyś dla się ieszcze wymówienie:
Piękne czy szpetne, nie dbasz; to ci iedno.

Albo masz głowę twardszą niż kamienie
Lub od czci wolisz karmić się sromotą!
Cóż na te racye rzeczesz mi, lichoto?
– Wszystko się skończy, gdy mnie ziemia schowa.
– Co za pociecha! ha! mądra wymowa!
Nic już nie mówię.

– Y nie stoię o to.

– Skąd to nieszczęście?

– Taka, ot, ma dola.

Sam Saturn taką losów moich postać
Snadź już nakazał.

– To szaleństwo. Hola!

Panem mu iesteś, a chcesz sługą zostać?

Patrz, w Salomońskim to pisaniu stoi:

„Człowiek roztropny (rzekł) ma w mocy swoiey
Planety wszystkie y włada im cnotą.”

– Nie wierzę; będę, czem los mi przeznaczy.

– Co mówisz?

– Milczę.

– Tak, zamilczmy raczey.

Nic już nie mówię.

– Y nie stoię o to.

Przesłanie

– Chcesz żyć?

– Od Boga czekam wspomżenia!

– Trzeba ci...

– Czego?

– Wyrzutów sumienia;

Czytać wciąż.

– Coże?

– Xiegi wiekuiste;

Ostaw szaleńców!

– Pewnie.

– Nie leż w błoto.

– Pomyślę nad tem.

– Pamiętay.

– Zaiste.

– Iżby nie przeszła chwila odpuszczenia.

Nic już nie mówię.

– Y nie stoię o to.